Raymond F. Jones

Koloniści

(The Colonists)

IF Worlds of Science Fiction, June 1954
Tłumaczenie Witold Bartkiewicz © Public Domain
Oryginał tekstu i ilustracje zaczerpnięto z wydania Projektu Gutenberg.

Jeżeli oparcie się na precedensach historycznych jest błędem, to jakie cechy powinni posiadać ludzie, żeby z sukcesem skolonizować nowe planety? Jak twierdził doktor Ashby: „Nie ma takich danych, których nie dałoby się zdobyć, pod warunkiem, że można dla potrzeb tego procesu zastosować właściwą procedurę eksperymentalną.” A więc… opowiedzmy o ludziach i procedurze…

To był deszczowy rok. Poprzedni, dla odmiany był suchy, i należało oczekiwać, że taki układ będzie się powtarzał. Ale wtedy nas już tutaj nie będzie, pomyślał sobie kapitan Louis Carnahan. Przeżyli cztery lata suche, a teraz mieli czwarty mokry, i wkrótce powinni wrócić do domu. Dla nich, był to po prostu koniec kolejnego cyklu.

Początkowo, śledzili pilnie upływ dni, notując po kolei każdy z nich na przywiezionych kalendarzach, ale resztki kalendarzy już dawno temu zmieszały się w nierozróżnialny sposób ze ziemią tej planety –– zresztą razem z większością pozostałego ich wyposażenia. Dzisiaj jednak, wiedzieli już, że cykl złożony z pory mokrej i suchej, był niemal dokładnie równoważny dwom latom terrańskim, a więc nie potrzebowali już kurczowo śledzić kalendarzy.

Jednak na początku obecnej pory mokrej, Carnahan zaczął ponownie odhaczać dni, wydrapując je na pionowej belce, w chacie, w której mieszkał. Zegarów już także nie było, ale jeden i trzy czwarte ziemskiego dnia, równało się jednemu dniu serrengiańskiemu, i w ten sposób można było wyliczyć, kiedy upływa termin powrotu statków z Ziemi.

Wokół chaty wykopał prawdziwy rów obronny, dzięki czemu po ubitym klepisku podłogi, do środka nie napływała woda deszczowa. W chwili obecnej stały tylko dwie ściany i nie wiedział, ani specjalnie go to nie obchodziło, czy będzie budował pozostałe dwie, czy nie. Większość materiałów rozsypała się w pył podczas ostatniej pory suchej, i prawdę mówiąc mocno w to wątpił, czy uda mu się je czymś zastąpić. Dwie stojące ściany zostały podparte, tak by nie przewróciły się pod naporem wiatru. Dach był ciągle w dobrym stanie i dawał mu wystarczająco dużo miejsca bez przecieków, aby zmieścić tam kuchenkę i matę, którą nazywał łóżkiem.

Z topornej ławki, stojącej na środku pomieszczenia, wziął stojącą tam tykwę i pociągnął głęboki łyk palącego płynu. Stanął przed nieistniejącą ścianą frontową chaty i popatrzył po chłostanym przez strugi deszczu otoczeniu, na krąg innych domostw. Po przekątnej, w stosunku do jego chałupy, widać było Bolingera, małego biologa, krzątającego się nad czymś energicznie. Bolinger był jedynym spośród nich, który zachował coś na kształt zacięcia naukowego. Nieustannie uzupełniał swoje kolekcje, które w okresie ośmiu lat, potężnie się rozrosły.

Kiedy wrócą do domu, Bolinger przynajmniej będzie miał jakieś osiągnięcia, które będzie mógł z dumą pokazać. A reszta z nich…?

Carnahan roześmiał się ostro i pociągnął kolejny głęboki łyk z tykwy, czując świeży przypływ gorącego trunku, który już wcześniej minął bramy jego mózgu, przenosząc swoje fałszywe poczucie mądrości i jasności umysłu. Zdawał sobie sprawę, że to fałsz, ale to było jedyne źródło mądrości, jakie mu pozostało, jak sobie tłumaczył.

Zatoczył się do tyłu, na łóżko, trzymając tykwę w ręku. Przelotnie pochwycił swój obraz w małym stalowym lusterku, na niskim stoliku stojącym przy końcu łóżka. Zatrzymał się, aby popatrzeć, pogłaskał grubą kołdrę brody i przesunął palcami po włosach, które kiedyś, gdy tutaj przyleciał, były ciemno czarne, a teraz przybrały kolor brudnej siwizny.

Nie przyglądał się sobie przez bardzo długi czas, ale teraz musiał to zrobić. Musiał dowiedzieć się, co zobaczą inni, kiedy przylecą statki z Ziemi, żeby zabrać personel Bazy i zostawić nową zmianę załogi. Obraz, jaki zobaczył, przyprawił go o mdłości.

Na początku tej ostatniej pory deszczowej, całe jego życie przed przybyciem tutaj, na Serrengii, wydawało mu się snem, który nigdy nie był prawdziwy. Teraz, w miarę jak odmierzał końcowy odcinek koła jakie zatoczyło tutaj jego życie, i ponownie zbliżał się do jego punktu startowego, wszystko to zaczęło do niego powracać. Zaczynał sobie przypominać, coraz więcej i więcej. Obserwując swoje odbicie w lustrze, przypomniał sobie, co powiedział generał Winthrop, w dniu ich przylotu tutaj.

„Grupa wybranych, najlepszych jakich może dać Ziemia,” powiedział wtedy generał. „Przeczesaliśmy całą Ziemię, i to właśnie wy jesteście tymi, których wybrano aby reprezentowali Ludzkość na najdalszych krańcach Wszechświata. Pamiętajcie o tym, że gdziekolwiek się udacie, towarzyszył wam będzie honor Ludzkości. Nie zdradźcie, przede wszystkim nie zdradźcie, tego honoru.”

Carnahan z goryczą zacisnął zęby. Szkoda tylko, że starego, grubego Winthropa nie było razem z nimi. Gwałtownie uniósł tykwę, i rzucił ją na drugi koniec pomieszczenia. Oznaczało to konieczność wyprawy do chaty Baileya, żeby ją napełnić. Bailey kiedyś był Głównym Fizykiem. Teraz został oficjalnie uznanym gorzelnikiem, i samogon jaki produkował, był jedyną rzeczą, która pozwalała znieść życie tutaj.

Kapitan ponownie przyjrzał się swojemu odbiciu.

– Kapitan Louis Carnahan – wymamrotał na głos. – Grupa wybranych, najlepszych na Ziemi…!

Uderzył pięścią w małe metalowe lusterko, tak że przeleciało w powietrzu przez całe pomieszczenie. Stół poszedł również w jego ślady, a jedna, widocznie słabsza noga, ułamała się i zawirowała na podłodze. Potem Carnahan skulił się, z twarzą wtuloną w łóżko. Uderzał o nie pięściami, podczas gdy jego piersią wstrząsał znajomy pijacki szloch.

Kiedy mu w końcu przeszło, podniósł się i usiadł na brzegu łóżka. Jego mózg płonął z niszczącą jasnością. W jednej chwili zdało mu się, że jest w stanie przypomnieć sobie wszystko, co kiedykolwiek mu się przydarzyło. Pamiętał dosłownie wszystko. Przypominał sobie dzieciństwo, spędzone

pod jasnym, przyjemnym niebem Ziemi. Pamiętał swoje pragnienie, aby zostać żołnierzem, co nawet wtedy oznaczało życie w kosmosie. Pamiętał swój pierwszy lot, prosta treningowa trasa po bazach na Księżycu. Przekonało go to, że nigdy więcej nie mógłby już uważać się za Ziemianina, w sensie człowieka, który mieszka wyłącznie na powierzchni Ziemi. Jego królestwem był kosmos i gwiazdy. Nawet krótki okres, podczas którego pozwolił sobie na to aby się zakochać, nie zmienił tych przekonań. Poświęcił wszystko, czego domagała się od niego kariera.

W którym miejscu poszło źle? Jak mogło się to stać, że pozwolił sobie na zapomnienie? Zapomniał o wszystkim na całe lata, uświadomił sobie ze zgrozą. Zapomniał o tym, że w ogóle istnieje Ziemia. Zapomniał w jaki sposób się tutaj znalazł i dlaczego. A wszystkie cele, jakie sobie postawił, pozostały niezrealizowane. Przez długie lata, cała praca naukowa, jaką miała wykonać większa część ekspedycji, zupełnie leżała odłogiem. Jedynie mały biolog poszedł pod prąd, rok za rokiem dłubiąc w swoich zadaniach, i tylko on czegokolwiek dokonał.

A teraz wracały statki, i ludzie, którzy będą domagać się rozliczenia.

Jęknął głośno, ponieważ płonąca w jego umyśle wizja, stała się jeszcze bardziej straszliwa. Myślał o dniu, w którym przybyli na tą niegościnną i niezamieszkałą planetę, na Serrengię. Niemalże mógłby zamknąć oczy i powtórnie to wszystko zobaczyć –– cztery wysokie statki, stojące na płaskowyżu, całym poznaczonym śladami ich lądowania. Ludzie byli tacy dumni z tego co zrobili oraz z tego co jeszcze mieli zrobić. Kiedy rozładowywali góry sprzętu i zapasów, nie widzieli żadnych zagrożeń, które mogłoby ich pokonać.

I teraz, ten sam sprzęt, leżał w stanie kompletnego rozkładu, skorodowany i bezużyteczny, podobnie jak sami ludzie. A podczas pór suchych, dla odmiany, był zasypywany i niszczony przez piasek i wiatr.

Dokładnie pamiętał dzień i godzinę, kiedy załamał się i już nie wrócił do równowagi. Przez trzy lata utrzymywał wszystko żelazną ręką. Domagał się cotygodniowych apeli w pełnym umundurowaniu, a regułą była sztywna dyscyplina we wszystkich wzajemnych stosunkach. Potem, pewnego dnia, pozwolił na odpuszczenie apelu mundurowego. Wrócili właśnie z długiej wyprawy przez dżunglę, która odrastała w tym okresie po porze suchej. Był za bardzo wyczerpany fizycznie i duchowo, a ponadto przepełniało go narastające poczucie daremności ich wysiłków, a więc zrezygnował na chwilę ze sztywnego formalizmu, jakiego się trzymał.

Potem, już poszło łatwo. Padali po kolei wszyscy wokół niego. Próbował ich trzymać w garści, co prowokowało kłótnie, graniczące z buntem. Wtedy to, w szóstym miesiącu czwartego roku, musiał zabić własnymi rękoma, pierwszego z oszalałych, buntujących się członków ekspedycji. Praca naukowa rozpadła się i została porzucona. Pamiętał, że kazał zabezpieczyć wszystkie ich notatki, zapisy obserwacji i sporządzone mapy, ale gdzie ukryli metalową skrzynię, w której je zamknęli, było to jedną z rzeczy, których nie mógł sobie przypomnieć.

Co bardziej gwałtowni członkowie wyprawy, zaczęli się nawzajem zabijać, inni z kolei powędrowali gdzieś w dżunglę, czy na pustynię, i nigdy już nie wrócili. Na miejscu pozostał równy tuzin ludzi, którzy utworzyli coś

w rodzaju monastycznej pustelni. Każdy z nich zajmował się tylko sobą samym, świadom, że wykroczenie choćby o włos przeciwko jednemu z sąsiadów, mogło oznaczać natychmiastowe wyzwanie i walkę na śmierć i życie. Pomimo wszystko uczepili się członkowstwa w tej zdegenerowanej organizacji społecznej, ponieważ reprezentowała ona ich ostatnie pretensje do człowieczeństwa.

I to właśnie będą mogli zobaczyć przybysze. Zobaczą jego osobistą klęskę. To *była* jego klęska, nie było co do tego najmniejszych wątpliwości. To on powinien wykazać hart ducha, powinien utrzymać ekspedycję razem, powinien zachować tę bazę, w zgodzie z całą siłą i honorem tradycji wojskowej, na podstawie której mu ją powierzono. Nie był dostatecznie silny.

Statki przylecą. Cztery. Mogą przylecieć już jutro, albo nawet dzisiaj. Panika pełzła przez jego ciało. Statki mogą wylądować dosłownie w każdej chwili, a ludzie którzy nimi przylecą, wymaszerują z nich aby pogratulować mu jego klęski, tchórzostwa i hańby. To się nie może wydarzyć. Stary grubasek Winthrop powiedział im jedną rzecz, która naprawdę miała sens: „… tu chodzi o honor Ludzkości. Nie zdradźcie, przede wszystkim nie zdradźcie, tego honoru."

Grubasek miał rację. Jedyną rzeczą jaka mu pozostała był honor i tylko w jeden sposób mógł go zachować.

Z płonącą w mózgu jasnością, z trudem podniósł się z miejsca w którym leżał, podniósł metalowe lusterko i powiesił je na belce koło łóżka. Przekręcił połamany stół, opierając go o ścianę. Potem, w nastroju człowieka, który od tak dawna już nie wracał do rzeczywistości, zaczął przekopywać długie, od lat nie używane skrzynie, zwalone na stos w rogu pomieszczenia. Ich zawartość, w większej części była w stanie kompletnego rozkładu, ale w nasączonej olejem torebce, w której ją kiedyś umieścił, znalazł swoją prostą, ostrą brzytwę.

Gdzieś tu powinien być także krem do golenia, ale nie mógł go znaleźć. Musiał więc zadowolić się przygotowaną ciepłą wodą, a następnie powoli i boleśnie ścinać grubą brodę i oskrobywać twarz do czysta. Znalazł grzebień i zaczął rozczesywać splątane kłęby włosów, usiłując uporządkować je mniej więcej na kształt fryzury, którą zwykle nosił.

Potem wyciągnął ze skrzyni mundur, który włożył tam już tak dawno temu. Na szczęście był on w samym środku, otoczony przez inne rzeczy, tak że należał do najlepiej zachowanych elementów jego dobytku. Założył go na siebie, w miejsce tych szmat, które nosił przedtem. Skóra butów niemal zupełnie zesztywniała, z powodu braku pielęgnacji, ale pomimo wszystko założył je na nogi, czyszcząc przedtem kawałkiem szmatki palce u stóp.

Spod łóżka wyciągnął jedyny przedmiot, który utrzymywał w stanie zdatnym do użytku, drobiazgowo go naprawiając i konserwując, swój pistolet służbowy. Stanął, zapiął i wygładził kurtkę mundurową i uśmiechnął się do swojego odbicia w małym lusterku. Ale niemal natychmiast jego spojrzenie przesunęło się w bok, spoglądając gdzieś nieskończenie daleko.

– „Nie zdradźcie, przede wszystkim nie zdradźcie, tego honoru.” Przynajmniej dałeś nam jedną dobrą radę, grubasku – powiedział do siebie.

Uważnie przystawił sobie pistolet do głowy.

Kadłub statku numer cztery stał prosto i bez żadnych podpór. Montaż pokrycia jego skorupy był już w pełni zakończony, za wyjątkiem niezbędnych otworów instalacyjnych. A w przypadku numeru jeden, zakończono już nawet same instalacje, i na jutrzejszy poranek zaplanowano pierwszy lot testowy.

John Ashby wyglądał z okna swojego znajdującego się na trzecim piętrze biura, w stronę odległych doków montażowych, położonych po drugiej stronie terenu. Cztery kadłuby statków stały tam, gorejąc w świetle popołudniowego słońca, jak cztery złote pochodnie. Ashby czuł się przybity z powodu szybkości, z jaką statki były konstruowane. Odnosił niemal wrażenie, jakby inżynierowie wykazywali w stosunku do niego szczególną osobistą animozję, którą wyrażali przez niedorzeczne tempo ich budowy. Oczywiście, był to kompletny nonsens. Mieli zadanie do wykonania, i jeżeli uda im się uszczknąć nieco czasu z wcześniejszego harmonogramu, będzie to dla nich tylko powód do dumy.

Nie zanosi się jednak na żadne uszczknięcie czasu w *jego* harmonogramie, a bez zakończenia tych prac, statki nigdzie nie polecą. Musiał znaleźć odpowiednich ludzi, którzy będą w stanie je zabrać w ich fantastyczną podróż. Jak na razie, nie udało mu się tego zrobić.

Popatrzył w dół, na czarny samochód, z oznaczeniami rządowymi, który kilka chwil wcześniej podjechał przed front budynku, a potem usłyszał przez interfon głos panny Haslam, swojej sekretarki:

– Doktorze Ashby, Komisja do spraw Kolonizacji.

Odwrócił się od okna.

– Proszę od razu skierować ich tutaj – polecił.

Podszedł do drzwi i wymienił uścisk ręki, z każdym z mężczyzn. Przyszło tylko czterech członków komisji: przewodniczący Merton, generał Winthrop, dr Cowper i dr Boxman.

– Proszę, usiądźcie panowie tutaj, przy oknie – zaproponował Ashby.

Przyjęli sugestię, a generał Winthrop przez chwilę zapatrzył się na widok na zewnątrz.

– Piękny widok, nieprawdaż, doktorze Ashby? – powiedział. – Każdego dnia robią się coraz piękniejsze. Powinien pan częściej wychodzić na zewnątrz. Collins mówił mi, że już od tygodni nie pokazywał się pan tam, a Numer Jeden jutro idzie w górę.

– Mieliśmy za dużo do roboty, tutaj.

– *Moi* ludzie są gotowi – ostro stwierdził generał. – Moglibyśmy dostarczyć nawet kilkanaście załóg, które zabiorą te statki na Serrengię i z powrotem, a także ludzi do bazy na miejscu.

Ashby odwrócił się, ignorując komentarz generała. Zajął krzesło przy małym stole konferencyjnym, przy którym siedziało już trzech komisarzy.

Winthrop podążył jego śladem, siadając na krześle z zadowoloną miną, tak jakby zdobył ważny punkt.

– Numer Jeden jest już gotów – zagaił Merton, – a pan, doktorze Ashby, nadal nie jest w stanie dostarczyć nam ani jednego człowieka. Komisja uważa, że jesteśmy już bardzo blisko chwili, kiedy będą musiały zostać podjęte, określone decyzje. Zapoznawaliśmy się z pańskimi raportami, ale chcieliśmy porozmawiać z panem osobiście, tak by zorientować się, czy jesteśmy w stanie dojść do jakichś ustaleń, odnośnie tego, czego możemy się spodziewać.

– Dostarczę panom ludzi, kiedy dowiem się jakiego rodzaju osobowości potrzebujemy – odparł Ashby. – Do tego czasu, lepiej nie myśleć o wyruszeniu floty kolonizacyjnej. Nie podejmę odpowiedzialności za żadne rozwiązanie tego problemu, poza właściwym.

– Zbliżamy się do punktu – powiedział Boxman, – w którym czujemy się zmuszeni do rozważenia rekomendacji generała Winthropa. Szczerze mówiąc, nigdy tak do końca nie byliśmy w stanie zrozumieć pańskich obiekcji.

– W dowolnym momencie i na każde żądanie, jestem w stanie dostarczyć wszystkich ludzi niezbędnych do utworzenia tej bazy – stwierdził Winthrop. – Poświęciliśmy nieograniczone fundusze i lata treningu, na szkolenie personelu dla tego typu placówek, a pan pomimo tego upiera się przy poszukiwaniach wśród nieprzygotowanych amatorów. To w ogóle nie ma sensu, i jedynie dlatego, że to panu przekazano pełne kierownictwo programu naboru personelu, zdołał pan wymusić swój punkt widzenia na Komisji. Ale nikt nie rozumie o co panu chodzi. W świetle pańskich nieustannych porażek, Komisja czuje się zmuszona do dokonania własnego wyboru.

– W każdej chwili mogą panowie otrzymać moją rezygnację – oświadczył Ashby.

– Nie, nie, panie doktorze – Merton uniósł rękę. – Generał być może nazbyt impulsywnie wyraził nasze rozczarowanie, z powodu pańskich dotychczasowych niepowodzeń, ale nie prosimy wcale o pańską rezygnację. Chcielibyśmy jedynie zapytać, czy nie widzi pan jakiegoś sposobu na wykorzystanie przy obsadzaniu bazy, ludzi pana generała.

– Cały problem leży w błędnym określeniu, jakie upieracie się panowie stosować, w odniesieniu do tego projektu – odparł Ashby. – To nie jest, i nigdy nie będzie, baza. Próbujemy założyć kolonię. To czyni ogromną różnicę, jeśli chodzi o typ ludzi, jakich do tego potrzebujemy. Dyskutowaliśmy o tym już wcześniej…

– Ale nie wystarczająco dużo – ostro rzucił Winthrop. – Będziemy dyskutować na ten temat dalej, dopóki nie zrozumie pan, że nie damy panu zmarnować tych statków, dla bandy niedopieczonych idealistów, inspirowanych przez jakieś szlachetne nonsensy na temat niesienia między gwiazdy pochodni ludzkiej cywilizacji. Mamy utworzyć tam bazę w celu zebrania informacji naukowych i wypracowania praw i zasad dla zagospodarowania planety.

– Nie wydaje mi się, abym zgadzał się z panem w opisie proponowanego przeze mnie składu kolonistów – delikatnie sprostował Ashby.

– Ale właśnie do tego to prowadzi! Czy kiedykolwiek w historii kolonistami byli inni ludzie niż wyśpiewujący psalmy buntownicy, albo rzezimieszki usiłujące uciec spod szubienicy? Przy pomocy tego typu ludzi nie da się utworzyć kulturalnych i naukowych podstaw kolonii.

– Nie da się, ma pan całkowitą rację. To nie ten typ osobowości.

– Czego więc pan w końcu szuka? – ze zdenerwowaniem powiedział Merton. – Jakiego typu osobowości pan oczekuje, jeżeli nie może pan go znaleźć zarówno miedzy tym co ludzkość oferuje najlepszego, jak i najgorszego?

– Pańskie określenia, nie są do końca właściwe – stwierdził Ashby. – Nie bierze pan pod uwagę faktu, że nigdy wcześniej nie ustaliliśmy, jakiego rodzaju typ osobowości będzie najodpowiedniejszy dla procesu kolonizacji. Ignoruje pan fakt, że aż do dnia dzisiejszego, nie udało nam się z sukcesem skolonizować planet naszego własnego Systemu Słonecznego. Bazy, owszem –– ale nasze wszystkie dotychczasowe akcje kolonizacyjne, zawiodły.

– Czyż można znaleźć lepszy argument na poparcie mojej tezy? – dopytywał się Winthrop. – *Dowodzi on*, że bazy są rozwiązaniem praktycznym, a kolonie, nie.

– Nieważne jak daleko poleci, albo jak długi jest okres rotacji personelu, człowiek wysłany do bazy, spodziewa się, że wróci do domu. W dzień, czy w nocy, podczas wykonywania każdego, najdrobniejszego nawet zadania, w jego umyśle tkwi jedno podstawowe założenie robocze, że w jakiejś określonej przyszłości będzie mógł wrócić do domu. Jego baza nigdy nie będzie jego domem.

– Dokładnie. To właśnie dzięki temu korzystanie z baz, zakończyło się takim sukcesem.

Ashby pokręcił przecząco głową.

– Jeszcze nigdy żadna baza nie stała się sukcesem, z punktu widzenia permanentnego rozszerzenia cywilizacji. Z samej natury rzeczy, ma ona charakter przejściowy, nie jest czymś trwałym. To nie tego obecnie chcemy.

– W słownictwie wojskowym, mamy pojęcie baz trwałych – nie zgodził się Winthrop. – Nie może pan w ten sposób generalizować.

– Proszę mi wymienić choćby jedną bazę wojskową, albo ekspedycyjną, która rozciągnęła swój okres istnienia, na jakiś nieco dłuższy okres historii.

– No cóż… tak od razu…

– Samo pojęcie jest niepoprawne – kontynuował Ashby. – Rozprzestrzenienie danej cywilizacji ludzkiej, z jednego obszaru na inny, dokonywane na trwałych podstawach, zawsze realizowane było przez kolonistów. Ludzi którzy nie oczekiwali na to, że skończy się ich tura, ale wyjechali na miejsce żyć i zbudować swój dom. To właśnie chcemy zrobić na Serrengii. Ludzkość przygotowuje się do rozprzestrzenienia na cały Wszechświat.

– Więcej jednak, w związku z tworzeniem baz, istnieją pewne ograniczenia powodowane przez czas i przestrzeń. Nie uda nam się ich przezwyciężyć, nawet przy dowolnej liczbie wyszkolonego personelu. Cykle rotacyjne i odległości od domu, mogą się wydłużyć do rozmiarów przekraczających możliwości jakie są w stanie znieść ludzie. Tylko w przypadku, gdy wyjadą tam, *nie oczekując* powrotu, ten czas i odległość przestają być czynnikami, które nimi kierują.

– Nic nam nie wiadomo o żadnych takich ograniczeniach – ripostował Winthrop. – Tutaj, w Systemie Słonecznym, nie stwierdzono ich występowania.

– Ależ wiadomo – powiedział Ashby. – To czego nie udało nam się dowiedzieć, a co koniecznie musi być wyjaśnione zanim odlecą stąd te statki, to cechy umożliwiające człowiekowi zignorowanie czasu pobytu i odległości od ojczyzny. Znamy całkiem sporo udanych przedsięwzięć kolonizacyjnych z ziemskiej historii. Wiemy, że niezmiennie związane one były z jakimiś grupami mniejszościowymi, które uważały się za prześladowane, albo ograniczane warunkami narzucanymi im przez otoczenie, albo uchodziły przed skutkami jakichś zbrodni.

– Jeżeli w taki sposób spogląda pan na sprawę, to nic dziwnego, że poniósł pan porażkę – stwierdził dr Cowper. – W naszym społeczeństwie nie ma takich grup mniejszościowych.

– Szczera prawda – odparł Ashby. – Ale w żaden sposób nie możemy przyjąć, że czynnikiem determinującym wygenerowanie cech idealnego kolonisty, jest fakt bycia prześladowanym, albo uciekinierem! Mamy wystarczająco wiele przykładów mocno prześladowanych grup, które jako koloniści zupełnie zawiodły. Ale jest jakaś cecha, która wydaje się pojawiać, jeżeli już w ogóle występuje, jedynie pomiędzy tymi, którzy mają dostatecznie wiele odwagi, aby uciec przed uciskiem, albo ograniczającym ich otoczeniem. Ta cecha pozwala im na udaną kolonizację.

– Przede wszystkim więc poszukujemy osobników, którzy mieli kiedyś na tyle dużo odwagi, aby nie poddać się surowym ograniczeniom związanym z długością lotu, w sytuacji gdy takie ograniczenia zaistniały. I to między nimi mamy nadzieję znaleźć istotę tego, co umożliwia człowiekowi przecięcie wszystkich więzi łączących go z ojczyzną.

– A więc poszukujecie kandydatów – spytał Merton, – pomiędzy potencjalnymi buntownikami i kryminalistami?

Ashby skinął głową.

– Ograniczyliśmy nasze badania do tego rodzaju ludzi, w wyniku ścisłego precedensu historycznego, po to byśmy mogli zawęzić obszar poszukiwań, tak bardzo jak to tylko możliwe. Musicie jednak zrozumieć, że taki prosty wybór buntowników i wypełnienie nimi naszych statków, byłby bardzo ryzykowny. To byłaby technika oparta na kretyńskiej rosyjskiej ruletce. Niektórzy z nich mogą być dobrzy, ale nigdy nie wiemy zawczasu, którzy będą. Dla utworzenia jednej udanej kolonii moglibyśmy równie dobrze wysłać dwadzieścia, jak i tysiąc statków.

– Musimy zrobić coś więcej! Ponieważ środki wydatkowane na ten projekt są tak olbrzymie, więc po prostu *musimy wiedzieć*, z pomijalnym

marginesem błędu, że kiedy te grupy zostaną skontrolowane za osiem, czy za pięćdziesiąt lat, znajdziemy tam na miejscu społeczeństwo współpracujących, rozwijających się istot ludzkich. Nie możemy zadowolić się żadnym gorszym rozwiązaniem!

– Obawiam się niestety, że większość opinii w Komisji, nie zgadza się z panem – oznajmił przewodniczący Merton. – Być może da się znaleźć jakieś historyczne precedensy dotyczące zastąpienia wyszkolonych załóg generała Winthropa, wybranymi rzezimieszkami i zdrajcami, ale w tym przypadku, wydaje się to być niezbyt optymalna procedura!

– Chętnie obejrzymy dowody pańskiej tezy, doktorze Ashby, ale trzeba pamiętać, że mamy do czynienia z pewnymi rzeczywistymi faktami, co do których jesteśmy pewni. Jeżeli nie będziemy w stanie zrobić czegoś lepiej, to będziemy musieli zaakceptować najlepsze z rozwiązań istniejących na chwilę, kiedy statki będą gotowe do lotu. Jeżeli do tego czasu pan nie będzie w stanie dostarczyć nam sprawdzonych załóg i kolonistów, będziemy zmuszeni przyjąć rekomendacje generała Winthropa, i wybrać personel, którego reakcje są znane i przewidywalne, przynajmniej w wysokim stopniu. Przepraszam, ale z pewnością rozumie pan nasz punkt widzenia w tej sprawie.

Ashby milczał przez dłuższą chwilę, wodząc po kolei wzrokiem po twarzach siedzących przy stole osób. Potem przemówił półgłosem, tak jakby osiągnął już granice swoich zasobów energii.

– Tak… reakcje ludzi generała Winthropa, rzeczywiście są przewidywalne. Sugeruję, aby panowie poszli ze mną, a jak pokażę panom, jaki te reakcje wyglądają.

Wstał, a inni podążyli za nim, z pytającym wyrazem na twarzach. Winthrop nagle lekko szarpnął głową, jakby w tym momencie dostrzegł ukryte w słowach Asby'ego żądło:

– Co pan przez to rozumie? – zaczął się dopytywać.

– Chyba pan nie przypuszcza, że nasze badania, mogłyby pominąć ludzi, którym poświęcił pan tak wiele czasu i wysiłku, aby ich właściwie wyszkolić.

Generał poczerwieniał ze wściekłości.

– Jeżeli okaże się, że dobierał się pan do któregoś z moich ludzi…! Nie miał pan prawa…!

Pozostali członkowie Komisji uśmiechnęli się, lekko rozbawieni konsternacją generała.

– Powinien pan to potraktować jako dodatkową korzyść, mogąc sprawdzić wyniki pańskiego wyszkolenia – stwierdził przewodniczący Merton.

– Jest tylko jeden możliwy sposób ich sprawdzenia! – zawołał generał Winthrop. – Wsadzić tych ludzi na okres ośmiu lat, do bazy położonej w odległości czterdziestu siedmiu lat świetlnych od domu, i zobaczyć co zrobią. To jedyny sposób w jaki można ich sprawdzić.

– I jeżeli wie pan cokolwiek o naszych metodach testowania, zrozumie pan bez trudu, że to co zrobiliśmy, w efekcie właśnie temu dopowiada. Pański najlepszy człowiek akurat ma niedługo zostać wypuszczony z

laboratorium testowego. Nie zostało mu już więcej do końca, jak jakaś godzina.

– Kto posłużył panu jako królik doświadczalny? – dopytywał się generał. – Jeżeli pan go zniszczył…

– Kapitan Louis Carnahan – oznajmił Ashby. – Zejdziemy na dół, panowie?

Przyglądanie się ostatnim minutom dezintegracji Carnahana, było po prostu czymś przerażającym. Kiedy generał Winthrop zobaczył aparaturę testową, w której badany był jego człowiek, jego twarz zrobiła się niemal purpurowa. Widząc jak kapitan przykłada sobie pistolet do głowy, próbował gołymi rękoma rozbić obiektyw obserwacyjny, na moment przedtem zanim załączył się promień bezpieczeństwa, przerywający test.

A potem Ashby musiał wysłuchiwać wściekłego, zjadliwego Winthropa:

– Zniszczył pan jednego z najlepszych ludzi, jakiego kiedykolwiek wyszkoliła Służba! Dobiorę się panu za to do skóry, Ashby, choćby miałaby to być ostatnia rzecz jaką zrobię, w swoim życiu!

Merton i inni również byli wstrząśnięci, zarówno samym aktem przemocy, jak i stopniem degradacji tego co zobaczyli. Ashby jednak nie wiedział, czy udało mu się przeforsować swój punkt widzenia, czy nie. Carnahan, oczywiście, w ciągu dwudziestu czterech godzin, miał wrócić do Służby, z całkowicie usuniętymi wszystkimi negatywnymi skutkami testu. Będzie wiedział tylko, że został wzięty na test i że go nie przeszedł, ale nie pozostanie nawet śladu po tych wszystkich gorzkich emocjach, jakie przeżył podczas kilku dni egzaminu.

Ashby ponownie wyglądał na zewnątrz, na cztery statki, teraz już zmieniające kolor ze złotego na czerwony, w miarę jak słońce schodziło coraz niżej po niebie. Nie spytał Mertona, czy ultimatum Komisji nadal obowiązuje. Zastanawiał się, jak mogliby teraz na niego naciskać, po tym wszystkim co zobaczyli, ale *nie wiedział*.

Niecierpliwie odwrócił się od okna, ponownie słysząc dobiegający z interkomu głos panny Haslam.

– Panie doktorze, pan Jorden nadal czeka na spotkanie z panem.

Jorden. Zupełnie zapomniał. Człowiek musiał czekać przez całą konferencję z komisarzami. Jorden był jednym z ludzi, którzy dwa tygodnie temu nie zostali dopuszczeni do egzaminu, i upierał się, że ma *prawo* do tego, by zostać przeegzaminowany przez urząd kolonizacyjny. Niemal nieustannie próbował się do niego dostać. Równie dobrze może pozbyć się tego człowieka teraz, raz na zawsze, niechętnie zdecydował Ashby.

– Proszę go wpuścić – powiedział.

Mark Jorden był wysokim blondynem, dobrze po dwudziestce. Wymieniając z nim uścisk dłoni, Ashby poczuł grube mocne palce, i dostrzegł, wystający spod rękawa płaszcza, masywny nadgarstek. Twarz Jordena, była typową różową twarzą Skandynawa, z odpowiednio

dopasowanymi do niej niebieskimi oczyma, które uważnie przyglądały się Asby'emu.

Usiedli przy biurku.

– Chce pan zostać kolonistą – stwierdził Ashby. – Twierdzi pan, że chce pan osiedlić się na resztę życia, czterdzieści siedem lat świetlnych od Ziemi. Ale nasz wstępny test psychologiczny wskazuje, że ma pan zaledwie ślady podstawowych wymaganych cech. Dlaczego więc upiera się pan przy pełnym teście?

Jorden uśmiechnął się i uczciwie pokręcił głową.

– Nie potrafię dokładnie powiedzieć. Wydaje mi się, że to coś, co robiłbym z radością. Być może mam to we krwi –– moi rodacy zawsze lubili podróżować i spoglądać na nowe miejsca. Byli żeglarzami w czasach kiedy nie było jeszcze żadnych map, według których można by żeglować.

– Pewne jest, że w tej sytuacji także nie mamy żadnych map, według których moglibyśmy żeglować – powiedział Ashby. – Ale nie wydaje mi się, by słowo „radość", było tutaj odpowiednie. Czy w ogóle pan pomyślał, jak będzie wyglądać takie życie, w tak wielkiej odległości od Ziemi, bez żadnej możliwości komunikacji, poza statkiem co osiem lat, czy coś koło tego? Dla tego rodzaju przedsięwzięcia, wymagane są kwalifikacje, różniące się jedynie o włos od szaleństwa.

– Jestem przekonany, że pan tak nie sądzi, panie doktorze – z wyrzutem odparł Jorden.

– Być może, nie – przyznał Ashby. Spokojne zapewnienia jego gościa, nieco go zirytowały. Tak jakby to *on* wiedział, jakie warunki powinni spełniać koloniści. – Widzę w pańskim zgłoszeniu, że jest pan inżynierem elektrykiem.

Jorden skinął potwierdzająco głową.

– Tak. Moja firma właśnie oferowała mi stanowisko szefa działu, ale musiałem wyjaśnić, że złożyłem wniosek zgłoszeniowy na kolonistę. Oczywiście pomyśleli sobie, że kompletnie zwariowałem.

– Czy wzięcie udziału w teście, oznaczać będzie cofnięcie pańskiego awansu?

– Nie jestem pewien. Wydaje mi się jednak, że raczej mnie pominą i dadzą to stanowisko któremuś z innych ludzi.

– Jest więc pan aż tak bardzo zdeterminowany, żeby zrezygnować z tej szansy? I tylko po to aby wziąć udział w teście, który może bezdyskusyjnie pokazać, że nie ma pan żadnych kwalifikacji do tego, aby zostać kolonistą?

– Wydaje mi się, że mam odpowiednie kwalifikacje – stwierdził Jorden. – Nalegam jedynie na to, aby dano mi szansę. Wierzę, że mam do tego prawo.

Ashby usiłował trzymać swoje rozdrażnienie na wodzy. To, co powiedział Jorden, mogło być prawdą. Nikt wcześniej nawet nie podnosił tej kwestii. Ci, którzy zostali odrzuceni przez wstępne testy, wycofywali się w dobrym stylu. Wydawało się nonsensem, by marnować czas stanowiska testowego i jego liczącej wielu ludzi obsługi, na kandydata w tak oczywisty sposób beznadziejnego. Z drugiej strony, nie mógł sobie na to pozwolić, aby w tym krytycznym okresie, Jorden zaczął mieszać i sprawiać problemy

w Komisji do spraw Kolonizacji –– a jak mógł się domyślać, dokładnie to będzie następnym ruchem Jordena, jeżeli ponownie zostanie odrzucony.

– Nasze maszyny i tak później wszystkiego się o panu dowiedzą – powiedział Ashby. – Prosiłbym jednak, aby pan sam trochę mi o sobie opowiedział, tak bym mógł pana poznać bardziej osobiście.

Jorden wzruszył ramionami.

– Nie mam za wiele do opowiadania. Odebrałem zwykłe wykształcenie, nic specjalnie imponującego. Odbyłem trzyletnią turę w Służbie, i jak mi się wydaje, to właśnie wtedy zacząłem czuć, że z życia można wyciągnąć coś, czego istnienia wcześniej w ogóle nie podejrzewałem. Przypuszczam, że to może zabrzmieć dla pana trochę głupio, ale kiedy po raz pierwszy postawiłem stopę na Księżycu, czułem się tak, jakbym za chwilę miał się rozpłakać. Podniosłem w dłoni garść pyłu księżycowego, i pozwoliłem aby przeleciał mi przez palce. Popatrzyłem w kosmos, w stronę Marsa, i pomyślałem sobie że mogę dotrzeć gdziekolwiek zechcę, że powinienem dotrzeć wszędzie.

– Medycy powiedzieli mi później, że tego rodzaju zwariowane wrażenie odnoszą wszyscy, którzy po raz pierwszy wylatują w kosmos, ale im nie uwierzyłem. Nie wierzę, że to było dokładnie to samo, co przeżywają wszyscy pozostali. Kiedy w końcu poleciałem na Marsa, i potem, w czasie mojej jedynej podróży na Plutona, wydawało mi się, że staje się ono jeszcze gorsze, zamiast słabnąć, tak jak mi mówili, że będzie. Kiedy wyszedłem ze Służby, rozpocząłem pracę w swoim zawodzie, i byłem z niej całkiem zadowolony. Nigdy jednak nie mogłem pozbyć się wrażenia, że coś tracę, coś co powinienem rozbić. Wiązało się to ze wszystkim, co było tam, daleko. – Uniósł szeroką dłoń i wskazał gestem widoczną za oknem linię horyzontu

– Być może powinien pan podjąć karierę zawodową w Służbie – zasugerował mu Ashby.

– Nie. Nawet mi się tam podobało, dopóki to trwało, ale nie mieli mi do zaoferowania niczego, czego chciałbym na stałe. Kiedy dowiedziałem się o propozycji kolonizacji Serrengii, wydawało mi się, że to jest właśnie to.

– Zgodnie z pańskim wnioskiem, nie jest pan żonaty.

– To prawda – potwierdził Jorden. – Nie mam żadnych zobowiązań, które mogłyby mnie zatrzymać.

– Rozumie pan, oczywiście, że jako kolonista, będzie pan się musiał ożenić, albo przed odlotem, albo wkrótce po przybyciu na miejsce. Życie kolonistów ma charakter rodzinny.

– Nie zastanawiałem się nad tym specjalnie, ale wydaje mi się, że to nie może być takie straszne. Przypuszczam, że mój wybór byłby dosyć poważnie ograniczony, do moich współtowarzyszek podróży?

– Zgadza się.

– Znam taką opowieść, o moim pra-, pra-, a może jeszcze jedno pra-dziadku, który poznał dziewczynę, którą poślubił, w noc przed wypłynięciem z ojczyzny do nowego kraju, gdzie miał się osiedlić. Mieli potem siedemnaścioro dzieci i mówiono o nich, że są niesamowicie szczęśliwi. Moja rodzina nadal posiada gospodarstwo, które właśnie oni wykarczowali. To tam się urodziłem.

– To oczywiście możliwe, chociaż nie za bardzo pasuje do naszych obecnie akceptowanych norm społecznych – z optymizmem w głosie przyznał Ashby.

– Jestem pewien, że to nie stanie mi na przeszkodzie. Jeżeli znajdzie się kobieta, skłonna do podjęcia takiego ryzyka, to ja z pewnością nie będę protestował.

– Jest pewna rzecz, o której chcielibyśmy wiedzieć – powiedział Ashby. – Przed czym pan ucieka. Kim, albo czym, są pańscy wrogowie.

Jorden roześmiał się niepewnie.

– Przepraszam, ale ja przed niczym nie uciekam. O ile wiem, nie mam żadnych wrogów.

– *Wszyscy* koloniści przed czymś uciekają – oznajmił Ashby. – W przeciwnym razie, zostaliby tam gdzie są.

Jorden przyglądał mu się przez chwilę, milcząc, a potem powoli się uśmiechnął.

– Wydaje mi się, że będzie miał pan okazję do zrewidowania tej tezy – stwierdził.

– Gdyby tak się stało, należałoby zrewidować również całkiem spory kawałek historii – odparł Ashby. – W każdym bądź razie, chodźmy do laboratoriów testowych. Pokażę panu, co tam na pana czeka, a potem podejmie pan decyzję, czy nadal nalega pan na doprowadzenie tego wszystkiego do końca.

Budynki Instytutu Nauk Społecznych, zajmowały obszar niemal czterdziestu akrów, i składały się głównie ze stanowisk testowych, w których prowadzono badania eksperymentalne proponowanych kandydatów na kolonistów. Ashby zaprowadził swojego gościa na parter, gdzie wsiedli do dwóch elektrycznych wózków, wykorzystywanych do poruszania się po ogromnych korytarzach kompleksu.

Ćwierć mili dalej zatrzymali się i weszli do przeszklonego pomieszczenia sterowni, wyposażonej w mnóstwo pulpitów i potężne szafy z wyposażeniem elektronicznym.

– To wygląda niemal jak system komputerowy o naprawdę solidnych rozmiarach – z podziwem stwierdził Jorden.

– Używamy komputerów w bardzo szerokim zakresie, ale ten sprzęt, to zwykła aparatura rejestrująca i sterująca, wykorzystywana do stworzenia sztucznego środowiska na stanowisku testowym. Proszę, niech pan przejdzie tamtędy.

Pomieszczenie sterowni, w chwili obecnej było puste, ale podczas testu pracowało w nim dwunastu techników. Pokazywanie kandydatom na kolonistów aparatury testowej przed egzaminem, było procedurą wysoce niekonwencjonalną, ale Ashby ciągle miał nadzieję, że uda mu się spławić Jordena, nie tracąc cennych zasobów na bezużyteczny test.

Weszli do pomieszczenia obserwacyjnego, i Ashby skierował uwagę Jordena na obiektywy obserwacyjne.

– Opróżniliśmy tu wszystko dzisiejszego popołudnia – wyjaśnił. – Ostatnio laboratorium zajmował kapitan Służby.

Jorden spojrzał na niego pytającym wzrokiem.

– No i…?

– Nie. Nie udało mu się. Jutro rano otrzyma pan wstępne uwarunkowanie, w którym zostaną ustawione podstawy całej sytuacji, coś w tym stylu, że poleciał pan na Serrengię i teraz mieszka pan tam w kolonii. Akcja testu rozpoczyna się w okresie, po pewnym czasie od utworzenia kolonii, kiedy zaczynają się nawarstwiać różnego rodzaju problemy. Pozostali członkowie grupy, będą pracownikami laboratorium, którzy będą panu dostarczać określonych bodźców stymulujących, tak byśmy mogli określić pańską reakcję na nie.

– Czy oni też tam będą przez cały czas siedzieli, w dzień i w nocy?

– Nie. Kiedy pan pójdzie spać, kończą swoją robotę i idą do domu.

– A co będzie, jeżeli się obudzę, i zorientuję się, że to wszystko to kant?

– Nie obudzi się pan. Na testowanych osobach przez cały czas skoncentrowane są wiązki promieni sterujących. Używamy ich do tego, by utrzymywać badanych we śnie, jeżeli jest taka potrzeba, oraz po to aby nimi do pewnego stopnia sterować. Dzięki temu możemy zapobiec wyrządzeniu przez nich krzywdy fizycznej, sobie samym, albo innym osobom.

– Czy to jest konieczne? – spytał z niepewnością w głosie Jorden. – Dlaczego ktokolwiek miałby chcieć kogokolwiek skrzywdzić?

– Kapitan, którego dzisiaj wypuściliśmy, doszedł do punktu, w którym chciał popełnić samobójstwo – wyjaśnił Ashby. – Uznajemy to za środek absolutnie niezbędny, tak byśmy mieli pewność, że przez cały czas zachowujemy adekwatną kontrolę.

– W jaki sposób możecie stworzyć złudzenie przestrzenności i iluzję całej nowej planety, na takim stosunkowo niewielkim obszarze?

– To *jest* złudzenie, a przynajmniej w dużym stopniu. W części wywoływane jest ono przez uwarunkowanie wstępne, inne efekty otrzymywane są mechanicznie. Ale kiedy pan już tam będzie, nawet przez chwilę nie będzie miał pan najmniejszych wątpliwości, że jest pan kolonistą na planecie Serrengii. Będzie pan działał odpowiednio do tego, i odpowiadał na otrzymywane bodźce, tak jakby został pan rzeczywiście przetransportowany na tę planetę. W ten sposób jesteśmy pewni, że znajdziemy kolonistów, którzy nie rozpierzchną się, kiedy będą musieli stawić czoła prawdziwym problemom.

– Ilu znaleźliście jak dotąd?

– Żadnego.

Jorgen przez chwilę milczał wstrząśnięty, ale potem uśmiechnął się i powiedział:

– A więc znaleźliście jednego. Możecie zapisać moje nazwisko na koncie.

– Zobaczymy – ponurym tonem odparł Ashby. – Pańska kolonia umiejscowiona będzie w obszarze niewielkiego pasa na północnej półkuli, gdzie możliwy jest znaczniejszy rozwój rolnictwa. Znajdzie się pan pośród

grupy ludzi próbujących wydrzeć życie z nowej planety, która nie jest może specjalnie wroga, ale też nie sprzyja na tyle, by można pozwolić sobie na nieróbstwo. Niektórzy z tych ludzi będą zgorzkniali i będą żałować, że w ogóle tam polecieli. Podzielą się na różne grupy, które będą między sobą walczyć. Te warunki będą stanowić wyzwanie dla każdego powodu, jaki pan ma do tego lotu. Będzie pan również musiał stawić czoła osobistej stracie, śmierci pańskiego dziecka…

– Dziecka? – przerwał Jorden.

– Tak. Będzie panu towarzyszyła żona i trójka dzieci. Jedno z nich umrze, a pan będzie reagował tak, jakby było ono ciałem z pańskiego ciała. Pańska żona będzie przeciwna dalszemu pobytowi na planecie, i zacznie się domagać powrotu na Ziemię. Zwalimy na pana każde brzemię, jakie tylko mogłoby zburzyć pańską determinację dla budowy kolonii. Musimy w każdy możliwy sposób przetestować zasadność pańskiej decyzji, aby polecieć. Czy nadal chce pan przez to wszystko przechodzić?

Szeroki uśmiech Jordena nieco zmarkotniał. Wziął głęboki oddech i powoli skinął głową.

– Tak. Doprowadzę to do końca. Myślę, że tego właśnie chcę.

Kiedy Ashby w końcu wrócił samotnie do biura, było już na tyle późno, że panna Haslam poszła do domu. Pomimo tego zadzwonił do dr Bonnie Nathan. Zazwyczaj pozostawała gdzieś w laboratorium, aż do dosyć późnej pory, nawet pomimo tego że nie było nikogo wyznaczonego do testu.

Po minucie lub dwóch, z telefonu dobiegł jej głos.

– John? Co mogę dla ciebie zrobić?

– Miałem nadzieję, że będę cię mógł zwolnić na kilka dni – powiedział Ashby, – ale mamy kolejnego kandydata, który pojawił się dosyć nagle. – Opowiedział jej krótko o Marku Jordenie. – To bez sensu, ale nie chcę, żeby akurat teraz pobiegł do Komisji, a więc weźmiemy go i przez to przepuścimy. Będziesz jego żoną. Wykorzystamy Program Sześćdziesiąt Osiem, tyle tylko, że go przyśpieszymy.

– Przyśpieszymy… !

– Tak, Nie zrobi mu to żadnej krzywdy. Wszystko, cokolwiek się tam stanie, później mu wymażemy. To zwykły awanturnik, i chcę go się pozbyć tak szybko, jak to tylko jest możliwe. Potem… być może będę mógł dać ci te kilka dni wolnego, które ci obiecałem. O.K.?

– Jeśli o mnie chodzi, to wszystko w porządku – odparła Bonnie. – Ale przyśpieszony Sześćdziesiąt Osiem…

Stali na niskim pagórku, przyglądając się dziewięćdziesięciu akrom leżącego u ich stóp gruntu, oczyszczonego z rosnącej nad potokiem trawy. Mark Jorden przysłonił dłonią oczy i zmrużonym wzrokiem, krytycznie przyglądał się zagonowi zielonych pędów, wyłaniających się z brązowej ziemi. Wykiełkowało nieźle, biorąc pod uwagę zły czas siewu. Szansa

uzyskania zbiorów, była całkiem spora. Jeżeli się nie uda, przez najbliższych kilka miesięcy będą jedli plastik z butów.

Dziesięcioletni chłopiec, stojący u jego boku, złapał go za rękę i przytulił się mocniej, tak jakby ze strony rozległych pól, mogło mu coś grozić.

– Czy nie ma żadnego sposobu, tato, żeby przysłali nam jedzenie z Ziemi? – zapytał go. – Jeżeli nie uda nam się uzyskać plonów?

– Lepiej udawajmy, że Ziemia w ogóle nie istnieje, Roddy – odparł Jorden. – Jesteśmy tak daleko od niej, że nie moglibyśmy nawet dać im znać, że potrzebujemy pomocy. – Swoimi wielkimi dłońmi chwycił chłopca mocno za ramiona, i przycisnął go do piersi. – Żadna pomoc z Ziemi nie będzie nam w ogóle potrzebna. Sami sobie ze wszystkim damy radę. Pomyśl tylko, co by zrobili ludzie na Ziemi, gdyby to oni z czymś nie mogli dać sobie rady? Czy mogliby posłać gdzieś po pomoc z zewnątrz?

– Wiem – powiedział chłopiec. – Ale ich jest tak wielu, że nie mogą zginąć. Tutaj, jest nas bardzo mało.

Jorden poklepał go łagodnie po ramieniu, kiedy wyruszyli w stronę stojących pół mili dalej prymitywnych domów.

– To tylko czyni wszystko dla nas dużo łatwiejszym – wyjaśnił. – Nie musimy się martwić o tych, którzy nie chcą współpracować. Z przygotowaniem jakie mamy, nie możemy przegrać.

Dla Roddy'ego było to dużo trudniejsze. Pamiętał Ziemię, chociaż kiedy ją opuścili miał tylko cztery lata. Nadal pamiętał miasta, oceany i lasy, chociaż oglądał je tak krótko, i trapiła go zwykła ludzka nostalgia za przeszłością, która wyglądała na dużo bardziej przyjazną, niż nieznana, groźna przyszłość.

Jeśli chodzi o pozostałe dzieci, to kiedy odlatywali Alice była jeszcze niemowlęciem, a Jerry urodził się już w trakcie podróży. Znali jedynie Serrengię, i kochali jej dziką, bezkompromisową surowość. Spędzili swoje szalone lata dziecięce pośród pobliskich wzgórz i lasów. Ale w przypadku Roddy'ego, było inaczej. Wydawało się, że dzieciństwo prześlizguje się obok niego. Miał zmienne usposobienie i wszędzie poruszał się z dużą ostrożnością, w nieustannej obawie przed tą planetą, której nigdy tak naprawdę nie nazwie swoim domem. Jordenowi krwawiło serce z pragnienia znalezienia choćby kropli radości dla niego.

– Wygląda, że idzie do nas pan Tibbets – nagle powiedział Roddy, z oczyma skierowanymi na nowy dom z drewnianych klocków.

– Tak, zdaje się, że masz rację – potwierdził Jorden. – Razem z nim są chyba Roberts i Adamson. To cała delegacja. Ciekawe, czego mogą chcieć.

Kolonia składała się z około stu rodzin, z których każda miała średnio pięciu członków. Początkowo osiedlili się na rozległym płaskowyżu, w pewnej odległości od rzeki. Była to dobre miejsce, wznoszące się ponad setkami mil pustyń i lasów. Ziemia tam była urodzajna, a wodę z rzeki łatwo można było wpompować na górę, korzystając z obfitości energii, dostarczanej przez należącą do społeczności elektrownię atomową, którą przywieziono z Ziemi.

Jednak trzy miesiące temu, elektrownia uległa całkowitemu zniszczeniu w katastrofalnej eksplozji, która zabiła prawie dwudziestu kolonistów.

Uprawy, mające dostarczyć im zapasów żywności na cały następny rok, były jedynie na wpół dojrzałe, i żadnymi środkami jakie mieli, nie dało się ich uratować.

Społeczność kolonistów, musiała się podzielić na mniejsze grupy. Trzy z nich, z których każda składała się z piętnastu rodzin, przeniosły się na niżej położone tereny, wzdłuż brzegu rzeki, oczyszczając tereny pod nowe uprawy, w desperackiej nadziei, że uda im się otrzymać zbiory przed końcem sezonu. Nie znali jeszcze dostatecznie dokładnie cykli pogodowych na tym obszarze, aby przewidywać je z dostateczne dużą dokładnością.

Mark Jorden zarządzał jedną z farm, i został wybrany przywódcą wioski w której mieszkali.

Tibbets był starszym człowiekiem, mieszkającym w tej samej wiosce. Jako, że miał sześćdziesiąt parę lat, dużą zagadkę dla Jordena stanowiło, dlaczego zezwolono mu na lot do kolonii. Roberts i Adamson pochodzili z osiedli położonych dalej, w dole rzeki.

Jorden miał wrażenie, że domyśla się celu ich wizyty. Nie chciał słuchać tego, co mieli mu do powiedzenia, ale zdawał sobie sprawę, że może będzie musiał się do nich przyłączyć.

Przywitali go z wąskiego, drewnianego ganku. Jorden wszedł po schodkach na górę, i uścisnął każdemu z nich rękę.

– Nie wejdziecie? Z pewnością Bonnie znajdzie dla nas coś zimnego do picia.

Tibbets podrapał się po rzadkiej, pomarszczonej brwi.

– Już nam podała. Przy tej twojej dziewczynie nie trzeba marnować czasu na gadanie co ma zrobić. Szkoda tylko, że niektóre inne panie nie potrafią pójść w ślady Bonnie.

Jorden przyjął pochwały bez komentarza, zastanawiając się tylko, czy nikt inny nie wiedział o gorących, gwałtownych protestach, jakie Bonnie czasami na niego wylewała, z powodu kolonii.

– W każdym razie, wejdźcie – zaprosił Jorden. – Niedługo muszę wracać do nawadniania, ale na razie możecie poczuć się jak u siebie w domu. – Poprowadził ich do wnętrza chaty z kloców.

Domy, jakie mieli na płaskowyżu, były całkiem przyzwoite. Ponieważ posiadali odpowiednie zasoby energii, mogli więc przygotować materiał drzewny oraz cement, i w przeciągu roku po wylądowaniu wyrosło całe miasteczko pięknych domów. Pomiędzy tymi, którzy zostali zmuszeni do ich opuszczenia, trudno było znaleźć bardziej rozżaloną osobę, niż Bonnie.

– Nie jesteś farmerem – mówiła. – Dlaczego nie mogą się wyprowadzić ci, którzy bardziej się do tego nadają?

Teraz, kiedy wszedł do kuchni, była bardzo zmęczona, ale próbowała się uśmiechnąć, jak zawsze okazując radość z tego, że go ponownie widzi. Nie był sobie w stanie wyobrazić jak by wyglądało życie bez niej, witającej go uśmiechem, kiedy wraca z pracy w polu.

– Zaraz podam tobie i Roddy'emu coś dla ochłody – powiedziała. – Czy panowie również chcieliby się jeszcze czegoś napić?

Kiedy wszyscy usiedli już we frontowym pokoju, odezwał się Tibbets.

– Mark, wiesz przecież dlaczego do ciebie przyszliśmy. Wybory są już za kilka miesięcy. Nie możemy pozwolić Boggsowi na kolejną kadencję na

stanowisku gubernatora. Musisz się zgodzić na kandydowanie przeciwko niemu.

– Tak jak ci mówiłem ostatnio, Boggs może być kiepskim kandydatem do tej roboty, ale ja byłbym jeszcze gorszy. On przynajmniej jest administratorem. Ja jestem tylko inżynierem –– a tak ostatnimi czasy to farmerem.

– Teraz, pojawiło się coś nowego – oznajmił Tibbets, a jego oczy nagle zrobiły się zimne i stanowcze.

– To całe gadanie o tym, że to on celowo wysadził elektrownię? Tego rodzaju plotki mogą w konsekwencji wysadzić w powietrze także całą kolonię. Boggs popełnił może wiele błędów, ale nie jest przecież szaleńcem.

– Tym razem mamy dowody – stwierdził Tibbets. – Naprawdę. Adamson ma świadka. Znalazł jednego z inżynierów, który uciekł przed wybuchem, i skłonił go do zeznań. Miał być jedną z ofiar wypadku. Tak się boi Boggsa, że ciągle się przed nim ukrywa. Ale ma dowody, a ci którzy mu pomagają, wiedzą, że są prawdziwe.

– Tibbets ma rację – żarliwie zapewnił Adamson. – Wszyscy wiemy, że to prawda. A coś takiego, nie może przecież pozostawać w ukryciu. Jeżeli chcemy, zapewnić przeżycie kolonii, musimy to ujawnić. Nie możesz tak po prostu zamknąć oczu i powiedzieć: „Dobry stary Boggs, nigdy w życiu by czegoś takiego nie zrobił.

Oczy Jordena ściemniały i ściszył głos, nie chcąc, aby Roddy w kuchni mógł ich usłyszeć.

– Powiedzmy, że to wszystko co mówicie jest prawdą. Dlaczego Boggs miałby zrobić taką szaloną rzecz?

– Ponieważ to kompletny szaleniec – odparł Tibbets. – Odpowiedź jest absolutnie oczywista. Chce zniszczyć część zasobów kolonii, ograniczyć i spowolnić jej rozwój. Satysfakcjonowało go już samo przybycie tutaj, oraz to że został wybrany na gubernatora, który puścił cały ten interes w ruch. Postrzegał to jako środek do tego, by stać się małym dyktatorem, tłamszącym grupę podległych sobie ciemnych kolonistów. Ale na miejscu, okazało się, że wszystko zmierza w odmiennym kierunku. Zorientował się, że ma pod sobą znaczny odsetek naukowców i inżynierów, którzy nie mają zamiaru godzić się na żadne takie nonsensy.

– Zobaczył, że ta grupa zaczyna go wyraźnie przerastać. Musiał więc ją ściąć podług swoich własnych rozmiarów. Chętnie nawet przy tym zniszczy wszystko, co nie należy do niego, ponieważ sądzi, że dzięki zredukowaniu nas wyłącznie do stanu pierwotnego, zdoła nas utrzymać w posłuchu. W każdym razie, kolonia poniesie klęskę.

– Jeżeli to co mówisz jest prawdą… jeżeli to faktycznie jest prawda… – powiedział Jorden, a jego wzrok nagle odpłynął gdzieś daleko, to musimy z nim walczyć…

– A więc, możemy liczyć na ciebie?

– Tak… Możecie na mnie liczyć.

Stał w drzwiach, obserwując jak trzej mężczyźni odchodzą, ale czuł za plecami obecność Bonnie. Kiedy się odwrócił, pośpieszyła do niego i oparła głowę na jego piersi.

– Mark… nie możesz tego zrobić! Boggs cię zabije. Co nas to wszystko obchodzi. Nie należymy już do społeczności Maintown. Te rozgrywki tam, na górze, to są ich sprawy, nie nasze. Gdyby ci się coś stało, chyba bym oszalała. Musisz myśleć o reszcie nas!

– Właśnie myślę – odparł Mark. Uniósł lekko jej podbródek, tak by mógł zajrzeć jej w oczy. – Myślę o tym, że będziemy tutaj żyli przez resztę naszego życia, tak samo nasze dzieci. Jeżeli te informacje o Boggsie są prawdą, dotyczy to nas wszystkich. Nie bylibyśmy tutaj, na dole, gdyby nie została zniszczona elektrownia. Mieszkalibyśmy ciągle w naszym porządnym domu w Maintown. Czyżbyś oczekiwała ode mnie, że pozwolę żeby Boggsowi uszło to wszystko płazem, nie ruszając nawet palcem, aby go powstrzymać?

– Tak… Tego bym właśnie chciała – powiedziała Bonnie, – ponieważ nie można zrobić niczego innego. Wiesz, że on trzyma Maintown w garści. Ma całą gromadę ludzi, którzy go chronią przed wszystkimi zbójami i zgorzkniałymi kolonistami, a oni zrobią wszystko co im poleci. Nie możesz walczyć z nimi wszystkimi, Mark. Nie pozwolę ci na to.

– Nie będę przecież walczył sam – odparł Jordan. – Jeżeli dojdzie do walki, będzie za nami większość kolonii. Z nami stanie również Ziemia. Boggs będzie musiał stawić czoła spuściźnie dwóch miliardów lat walki, która doprowadziła człowieka do tego, czym jest obecnie.

Ashby pozwolił sobie na późną kawę, w saloniku koło bufetu laboratorium, wiedząc, że i tak nie uda mu się zasnąć. Po drugiej stronie stołu Bonnie pojadała skromną spóźnioną kolację.

– Groźba walki z Boggsem, nie wydaje się go za bardzo przerażać – z zamyśleniem stwierdził Ashby.

– Żeby wystraszyć Marka, trzeba dużo więcej, niż takiego koczkodana jak Boggs – odparła Bonnie. – Ma w sobie dużo więcej człowieczeństwa, niż ci się wydawało.

– A więc, to wszystko może okazać się dużo bardziej interesujące, niż myśleliśmy. Szkoda, że nie możemy poświęcić mu więcej czasu. Ale wczoraj dzwonił Merton, żeby potwierdzić ultimatum, o którym ci wspominałem. Albo do czasu zakończenia Statku Cztery dostarczymy kolonistów, albo przekażą problem personelu Winthropowi –– nawet po obejrzeniu, jak Carnahan rozlatuje się na kawałki, na ich własnych oczach.

– Czy nie przyszło ci może kiedyś do głowy – wolno oznajmiła Bonnie, – że możemy podchodzić do tego od złej strony? Skąd wiesz, czy jakikolwiek kolonista z ziemskiej historii, dałby radę wymaganiom, jakie przed nim postawiłaby Serrengia? Zaczynam podejrzewać, że w tych warunkach, nawet lista pasażerów Mayflower, bardzo szybko by się skurczyła do zera. Oni mieli stosunkowo łatwo. Podobnie, jak i większość pozostałych dobrych kolonistów.

– Naprawdę…? – spytał Ashby.

– A może oni odnieśli sukces *pomimo* tego, że byli buntownikami. Gdyby przybyli na nowe ziemie nie czując presji konieczności ucieczki, mając zupełną swobodę działania, być może osiągnęliby jeszcze większe sukcesy.

– Ale dlaczego wtedy mieliby w ogóle tam wyruszyć?

– Nie wiem. Mógłby istnieć jakiś inny motyw, który by ich napędzał. Podobnie jak w przypadku wielkich bohaterskich wyczynów związanych z odkryciami, tworzeniem… innymi ludzkimi działaniami, podobnymi do kolonizacji…

– Nie ma żadnych innych ludzkich działań, podobnych do kolonizacji – kategorycznie stwierdził Ashby. – Bonnie, z pewnością zdajesz sobie sprawę, że pracujemy tutaj nad czymś wyjątkowym!

– Wiem… Ja tylko próbuję powiedzieć, że może istnieć jakiś inny sensowny motyw. Wydaje się, że Mark Jorden ma go w sobie. W tym teście jest coś odmiennego, i myślę, że powinieneś sam na to rzucić okiem.

– A co w nim jest takiego innego?

– On nie zachowuje się, tak jak pozostali. Nie ma żadnego znanego nam powodu do tego, aby tutaj siedzieć.

Ashby uważnie zmierzył dziewczynę wzrokiem. Należała do najlepszych członków jego zespołu, i była z nim od samego początku. Pomyślał sobie, że to dają znać o sobie skutki niewiarygodnego napięcia pracy dzień za dniem w laboratorium testowym.

– Nie powinienem ci pozwolić na rozpoczynanie pracy nad tym testem – powiedział. – Jesteś zmęczona. Może lepiej będzie jak wykasujemy mu wszystko, co zrobiliśmy, i rozpoczniemy od początku, tak żebyś mogła się wycofać.

Pokręciła przecząco głową, z szybkością, która go zaskoczyła.

– Chcę to dokończyć, i zobaczyć jak wypadnie Mark. Przyzwyczaiłam się do pracy z osobnikami zgorzkniałymi i antyspołecznymi, tak że to naprawdę duża ulga mieć kogoś, kto jest niemal normalny, potrafi żyć w grupie. Chciałabym być w okolicy, kiedy dowiemy się, dlaczego tutaj się znalazł.

– Szczególnie, gdyby udało mu się przejść całą ścieżkę, do końca. Ale to niemożliwe…

Kiedy Ashby przyjrzał się Bonnie następnego dnia rano, naprawdę zatroskał się jej stanem. Napięcie widoczne na twarzy kobiety, zdecydowanie przekraczało wszelkie możliwości makijażu, czy sztuki aktorskiej. Zastanawiał się tylko, dlaczego uległa mu właśnie teraz. Bonnie była dobrze wyszkolona, podobnie jak wszyscy członkowie personelu, pracujący na stanowiskach testowych. Nie pozwalali sobie na to, by fikcyjne konflikty emocjonalne, jakie się tam pojawiały, zbyt głęboko przenikały do ich osobistych doświadczeń. Tym niemniej, obecnie wydawało się, że Bonnie w jakiś sposób utraciła kontrolę nad pancerzem,

chroniącym ją przed taką inwazją. Wyglądało na to, że przejmowała się akcją programu testowego, niemal równie intensywnie, jak Mark Jorden.

Nie można było pozwolić na dalsze trwanie takiego stanu, ale tego rodzaju bieg spraw go naprawdę zaskakiwał. Jej fizyczne i emocjonalne badania, wykonywane przez testem, nie wskazywały na to, żeby zbliżała się do progu swojej wytrzymałości. Najwidoczniej gdzieś w tej całej sytuacji, którą wygenerowali, skrywała się jakaś emocjonalna bomba.

Ashby podglądał przez obiektyw obserwacyjny poczynania Jordena, rozpoczynającego turę po wszystkich wioskach, próbując spokojnie przeanalizować jego sytuację, którą miał już prawie zignorować, ale ta siłą wdarła się w pole jego uwagi. Jorden spędził godzinę u Adamsona, uważnie wysłuchując jego opowieści dotyczącej inżyniera atomisty, a następnie zaprowadzono go do kryjówki inżyniera, który twierdził, że ma bezpośrednie dowody na to, że to Boggs doprowadził do eksplozji w elektrowni.

Kiedy Adamson zostawił ich samych, Ashby skontaktował się nim przez malutki komunikator, ukryty pod skórą, za prawym uchem mężczyzny.

– Tu Ashby – powiedział. – I jak to wszystko wygląda? Myślisz, że on upora się z Boggsem?

– Nie ma co do tego wątpliwości. – Odpowiedź Adamsona doleciała do jego uszu, pomimo że tamten nie poruszył ustami ani gardłem. – Jorden należy do ludzi o dużej bezwładności. Trzeba go mocno pchnąć żeby wprawić w ruch, ale kiedy już naprawdę zacznie się toczyć, nie ma również wielu rzeczy, które by go mogły zatrzymać. Żeby określić jego granicę wytrzymałości, naprawdę będziesz musiał wywrzeć na niego solidną presję.

– Obawiam się, że raczej wcześniej określimy granicę wytrzymałości Bonnie. W tym wszystkim jest coś, co uderzyło ją zdecydowanie za mocno. Czu wiesz może o co chodzi?

– Nie – odparł Adamson. – Mnie też się wczoraj wydawało, że to dostrzegam. Być może powinniśmy ją wyeliminować z dalszych prac.

– Nalega na dokończenie programu. A ja również chętnie bym przeszedł całość z Jordenem. Zaczyna mnie coraz bardziej ciekawić. Miej Bonnie na oku i na koniec zmiany daj mi znać, co o tym myślisz.

– W porządku – powiedział Adamson.

Jorden podążał za swoim przewodnikiem wzdłuż brzegi rzeki, w odległości ponad mili za ostatnią wioską. Tam, w ukrytej we wierzbach jaskini, w gliniastej skarpie nad brzegiem rzeki, miał odnaleźć Jamesa, inżyniera atomistę, o którym donoszono mu, że wiedział o udziale Boggsa w ataku na elektrownię.

– Powiedziałem mu, że przyjdziesz – powiedział mu Adamson, – ale ja będę musiał wyjść. Lepiej będzie, jeżeli zostaniesz z nim sam na sam. Jest nieco zgorzkniały, ale nie ma broni, i pójdzie ci na rękę, jeżeli nie będziesz go za mocno naciskał.

Jorden obserwował Adamsona znikającego za skarpą, idącego w stronę z której przyszli. Opanowało go uczucie kompletnej groteski. To nie po to przecież tutaj przylecieli! Mieli zbudować forpocztę dla cywilizacji ludzkiej, zgłosić żądania ludzkości do tego sektora Wszechświata. A skończyli w głupim konflikcie, godnym polityki sprzed wieków, u siebie na Ziemi.

Jego twarz stężała, kiedy zbliżył się do wejścia do jaskini i zagwizdał dźwięki sygnału, którego nauczył go Adamson. Jeżeli utworzenie kolonii wymagało również walki tego rodzaju, to on nie miał zamiaru uchylać się przed bitwą. Nie miał zamiaru poświęcić reszty swojego życia, tylko po to, by zmarnować je dla takiego śmiesznego małego tyrana jak Boggs.

Spomiędzy rozchylonych gałęzi wierzbowych, wyjrzała ostrożnie brodata twarz, i usłyszał głos Jamesa.

– To pan nazywa się Jorden? Do tej pory chyba już wszyscy we wioskach wiedzą, gdzie się ukrywam. Jestem zapewne największym głupcem świata, pozwalając tej całej czeredzie wydeptywać ścieżki do mojej kryjówki. Niech pan już wejdzie, powiem panu wszystko co wiem. Jeżeli moje informacje pomogą panu dopaść Boggsa, to jest to warte wszystkiego, co mnie to kosztuje.

Jorden wszedł za mężczyzną, przez szparę między wierzbami, do wnętrza jaskini. Tam obaj przysiedli na kamieniach, twarzą w twarz.

– Teraz sobie pana przypominam – powiedział James. – To pan przygotowywał generator elektryczny, kiedy składaliśmy stos, zgadza się? Tak mi się wydawało, że pracowaliśmy razem.

Jorden potwierdził skinięciem głową, mając nadzieję, że James sam będzie mówił dalej. Pamiętał uwagę Adamsona, aby go za mocno nie naciskać. Inżynier jednak zdawał się nie mieć już nic więcej do powiedzenia. Mocno tylko pocierał jedną ręką o drugą i wyglądał przez wejście do jaskini, na powoli przesuwający się nurt rzeki.

– Ta sprawa udziału Boggsa w zniszczeniu elektrowni… jak to się zaczęło? – w końcu przerwał ciszę Jorden.

– A jak mogłoby się zacząć coś takiego? – spytał retorycznie James. – Boggs przyszedł do niektórych spośród nas i, niby to w przypadkowej rozmowie, zauważył, jakim to jest wstydem, że kolonia ma zamiar powielać w kółko, te same błędy jakie w ciągu minionych paru tysięcy lat poczyniono na Ziemi. Część z nas sympatyzowała z tego typu tokiem myślenia, to rzeczywiście byłby wstyd. Niektórzy z inżynierów pomyśleli sobie, że pojawiła się doskonała okazja do ustanowienia naprawdę naukowego społeczeństwa. Nie zgadzali się z tezą, że Boggs jest idealnym przywódcą, ale w końcu przecież *on był* przywódcą, i był oczywistą osobą, która mogła całą sprawę przeprowadzić. Wszyscy z nich doszli do wniosku, że powstała w wyniku szybkiej industrializacji, wysoko rozwinięta cywilizacja technologiczna, zbudowana na starych, zgniłych podstawach, stałaby się największą przeszkodą, w tworzeniu społeczeństwa na naprawdę właściwych zasadach socjologicznych. Dalej może się pan już domyślić.

No tak, rzeczywiście dalej to już nie było trudne, pomyślał Jorden. Każdy mógłby się domyślić. To było najstarsze kłamstwo, jakie

kiedykolwiek wymyślili ludzie dzierżący władzę i stanowiska. Dlaczego akurat ci koloniści się na nie nabrali?

– A co z panem? – spytał Jamesa. – Czy pana również przyciągnęły argumenty Boggsa?

Inżynier skinął głową.

– Złapał nas wszystkich na ich lep. A jednocześnie przez cały ten czas nie miał zamiaru dopuścić do tego, by przeżyło więcej niż zaledwie paru z nas –– oszukując pozostałych.

– Ale dlaczego? – spytał go Jorden.

– Dlaczego? Długo nad tym myślałem, siedząc tutaj w tej dziurze. Człowiek zaczyna się zastanawiać nad takimi sprawami, kiedy zda sobie sprawę, że już nie ma już drogi odwrotu, że Boggs zabije mnie natychmiast, kiedy mnie tylko zobaczy, za to co mógłbym powiedzieć innym, a pozostali koloniści zrobią dokładnie to samo, za to co zrobiłem. Adamson mówi, że mogę mu zaufać. Powiedział też, że mogę zaufać panu. Ale ja już nie ufam nikomu. Wiem, że pewnego dnia, już wkrótce, dostanę od któregoś z was kulę w łeb. Mam tylko nadzieję, że któryś z was na tyle mocno nienawidzi Boggsa, żeby go dopaść wcześniej.

– Przede wszystkim, dlaczego więc przyleciał pan na Serrengię?

– Żeby uciec. A dlaczego przylecieli tutaj inni? Nie rzuca się wszystkiego co się ma, żeby polecieć na jakąś dziwną planetę, i spędzić na niej resztę życia, jeżeli nie ma się do tego dobrych powodów. Jeżeli ktoś nie nienawidzi tak mocno tego wszystkiego co ma, że woli spróbować zdobyć coś zupełnie nowego. Jeżeli ktoś nie boi się tak bardzo, tego co może stać się z nim tam, w domu, że woli stawić czoła różnym nowym zagrożeniom tutaj, w kosmosie. Wszyscy mieliśmy po temu jakieś powody. Ja o pańskie nie pytam. Co więc za różnica, jakie były moje. Wszyscy jednak mają podobne. Przylecieliśmy tutaj, ponieważ byliśmy tak bardzo przerażeni, albo tacy pełni wściekłości, ze nie mogliśmy zostać.

– Jak więc mógł pan myśleć, że zbuduje sobie nowy świat, na bazie nienawiści i strachu, pochodzących ze starego?

– A kto by się przejmował tym, co tutaj miałoby się budować? Wszystko czego chcieliśmy, to tylko uciec. Pan również nie może podać mi żadnego innego powodu!

Jorden nic nie odpowiedział. Wpatrywał się tylko ze zdziwieniem w inżyniera atomistę. Tak właściwie, to do jakiego stopnia słowa Jamesa mogły być prawdą? Jak bardzo kolonia była przeżarta przez takich jak on, ludzi nieprzewidywalnych, pozbawionych celu?

Jeżeli uciekli od Ziemi, w celu stworzenia czegoś lepszego niż to co na niej pozostawili, to jeszcze była jakaś szansa. Ale jeśli James miał rację twierdząc, że większość z nich przyleciała tutaj w ślepej ucieczce, w ogóle bez żadnego celu, to ziemska kolonia na Serrengii będzie martwa na długo przedtem, zanim statki ponownie tutaj przylecą.

Jorden jednak w to nie wierzył. Nie wierzył w to, że wszyscy poza niewielkim odsetkiem kolonistów żywili w stosunku do Ziemi jakieś inne

uczucia poza miłością. Większość z nich przyleciała tutaj, ponieważ chcieli zrobić coś ze swoim życiem, właśnie tę konkretną rzecz, Nic ich do tego nie naciskało, ani nie zmuszało.

– Proszę mi opowiedzieć, co zrobił Boggs, i jak pana do tego namówił – powiedział Jorden.

James opowiedział mu ze wszystkimi szczegółami, jak Boggs zyskał na tyle duże wpływy pomiędzy personelem technicznym, aby doprowadzić do katastrofy w elektrowni, jak przekonał ich, że nowy idealny porządek społeczny, wymagał od nich posłuszeństwa jego fantastycznym planom. Następnie, za namową gubernatora, dwóch z ludzi zdradziło pozostałych. Jedynie James, który tej feralnej nocy, znajdował się w pewnej odległości od swojego normalnego stanowiska pracy, zdołał stamtąd uciec nie odnosząc śmiertelnych obrażeń.

– Wiem co pan teraz czuje – opowiadał James. – Chętnie by mnie pan teraz pchnął nożem. Ale dopóki nie uda się panu pozbyć Boggsa, musi pan zapewnić mi przeżycie. Kiedy to wszystko się już skończy, wyśle pan kogoś ze swojego otoczenia, aby zajął się tym zdrajcą, Jamesem. Może pan być jednak pewien, że mnie już tutaj nie będzie. Przedostanę się przez pańskie straże!

Ten człowiek jest na wpół obłąkany, pomyślał sobie Jorden. Na skutek gorączki, infekcji w nie do końca zaleczonych ranach, a prawdopodobnie również w wyniku działania samego promieniowania.

– Nie mamy zamiaru ustawiać tutaj żadnych straży – stwierdził. – Natomiast mamy zamiar zapewnić panu pomoc i opiekę medyczną. Niech pan nie próbuje uciekać w dół rzeki. Mam odpowiednich ludzi, którzy zabiorą pana w miejsce, gdzie będzie pan bezpieczny i będzie miał pan właściwą opiekę.

Jorden odszedł, mając nadzieję, że James nie będzie próbował dalszej ucieczki, zanim nie upewni się o upadku Boggsa. Ale kolonia nie mogła zapewnić tego rodzaju szybkiej rozprawy z gubernatorem, jakiej pragnął James. Musiało to zostać załatwione porządnie, nawet pomimo tego że byli społeczeństwem pogranicznym. Musiała się odbyć rozprawa. Musiały znaleźć się dowody, a James musiał zostać wezwany aby je przedstawić.

Wrócił do wioski i dokonał odpowiednich ustaleń z Adamsonem, aby zapewnić opiekę medyczną dla Jamesa. Doktor Babbit, jeden z czterech lekarzy kolonii, był dostatecznie wyzuty z sympatii do Boggsa, aby można mu było zaufać.

Następnie, wraz z rodziną, wyruszył z Tibbetsem do Maintown. Na tablicy informacyjnej na Budynku Rady, wywiesił obwieszczenie o zgłoszeniu swojej kandydatury na stanowisko gubernatora, które przygotował dla niego Tibbets. Następnie Tibbets wygłosił małe przemówienie, do grupy ludzi, którzy zebrali się, aby przeczytać, co pojawiło się na tablicy informacyjnej. Jednak sam Jorden odmówił złożenia na gorąco jakichkolwiek osobistych oświadczeń. Będzie miał wystarczająco dużo do powiedzenia, kiedy już nadejdzie czas oskarżenia Boggsa o przestępstwa związane ze zniszczeniem elektrowni.

Jednak pomiędzy ludźmi, wpatrującymi się ze zmrużonymi oczyma w elegancki, czarny druk Tibbetsa, dawało się wyczuć lekką obawę.

Powszechnie zakładano wcześniej, że Boggs uzyska reelekcję, nie napotykając żadnego oporu.

Kiedy wracali, Tibbets przewiózł ich samochodem przez całe Maintown, i przejechał z nimi koło opustoszałego domu, który Jorden zbudował w pierwszym roku po przylocie na Serrengię. Bonnie rzuciła w jego stronę głodnym spojrzeniem, porównując jego wygodę i przestronność, z prymitywną chatą, w jakiej mieszkali teraz.

Tibbets pochwycił jej wzrok.

– Gdyby nie Boggs, nadal byście tam mieszkali – zauważył.

Bonnie nic mu na to nie odpowiedziała. Zarówno ona, jak i Roddy wpatrywali się przed siebie niewidzącym wzrokiem, tak jakby nie byli w stanie skierować swojej uwagi na teraźniejszość, z powodu strachu, jaki wzbudzało w nich wszystko co ich otaczało. Jorden również milczał, ale jego wzrok nieustannie wędrował po okolicznych wzgórzach i odległych polach uprawnych. Nigdy w życiu nie pragnął znaleźć się w takiej sytuacji jak ta. Oczekiwał jedynie, że będzie żył w jakiejś społeczności pomagających sobie nawzajem i podobnie jak on energicznych istot ludzkich. Teraz już zdawał sobie sprawę, nawet bez dalszego przekonywania, że była to wyidealizowana wizja, rodem prosto z wieży z kości słoniowej.

Powinien przewidzieć, że z takiej grupy, jak ta tutaj, już po krótkim czasie, zaczną wyłaniać się łobuzy i dyktatorzy oraz osoby generalnie niezaradne, które nie mogły się przebić w społeczeństwie, jakie pozostawili za sobą. Na Ziemi, można było żyć i pracować koło takich ludzi, kompletnie sobie nie zdając sobie sprawy z ich odmienności. Tutaj, każde odstępstwo od zasad niezbędnej współpracy wzajemnej, zupełnie wystarczało do stworzenia barier dla całej społeczności.

Był w stanie zrozumieć obawy Bonnie i Roddy'ego. Oni przybyli tutaj tylko z jego powodu, w ogóle nie rozumiejąc celu istnienia kolonii. Obecne zamieszania podkreślało tylko jeszcze bardziej ich przekonanie, że przylot tutaj był czystym szaleństwem. W jakiś sposób musiał im to wszystko pokazać. Musiał spowodować, że zrozumieją powody pobytu na Serrengii. W tej chwili jednak nie miał pojęcia, jak to zrobić.

Program na dzień dzisiejszy zakładał pracę do późnej nocy, obejmował bowiem jeszcze długą scenę w domku, ale Ashby przerwał go natychmiast po ich powrocie z Maintown. Zarządził dwadzieścia cztery godzinny przerwy, z powodu Bonnie. Dłuższy okres snu, nie powinien zaszkodzić Jordenowi.

Jednak Bonnie, po zejściu ze stanowiska testowego, była wściekła z powodu tej przerwy.

– Jeżeli masz zamiar kazać mu przez to przechodzić do końca, dlaczego nie pozwalasz nam pracować? – gniewnie się dopytywała. – Ta cała sprawa zeszła już tak daleko z utartych ścieżek, że wkrótce możesz się przekonać, że nie doprowadzi nas donikąd.

– Wydaje mi się wręcz odwrotnie, że właśnie zaczynamy dowiadywać się sporo nowych rzeczy. Ale chciałbym, żebyś trochę odpoczęła. Ta zmiana jest zdecydowanie za długa dla ciebie.

– Wydaje ci się, że wiesz co się dzieje w głowie Marka Jordena, obserwując tylko tarcze przyrządów i mierniki. Ale to nieprawda, ponieważ to nie on powinien być głównym obiektem twoich zainteresowań. Jego cele, jakie postawił sobie, tam w kosmosie, są czymś dużo ważniejszym niż on sam. Ta kolonia coś dla niego *znaczy*. Dla wszystkich pozostałych, nigdy kompletnie nic nie znaczyła.

– A więc, to właśnie tego rodzaju sytuacji poszukujemy.

– Ale nie mamy możliwości technicznych ani wglądu do środka, które pomogłyby nam ją zrozumieć. Możemy analizować ludzi, którzy przed czymś uciekają… Ale nie jesteśmy przygotowani na takich, którzy do czegoś *dążą*.

W nocy po powrocie z Maintown, przez krawędź płaskowyżu przewaliła się przerażająca burza. Rozpoczęła się w porze kolacji i przez godzinę zalewała ziemię strugami deszczu. Jorden chciał zejść nad rzekę, żeby zobaczyć czy trzymają ich tamy przeciwzalewowe. Gdyby zostały przerwane, odtworzenie ich wymagałoby wielu długich dni ciężkiej ręcznej pracy.

Zrezygnował jednak, posłuchawszy błagań Bonnie, aby pozostał razem z nimi w domu. Roddy bardzo się wystraszył burzy, a kiedy w pewnej chwili piorun wstrząsnął ścianami ich chatki, wyglądał na niemal fizycznie chorego. To czy Jorden sprawdzi je teraz, czy dopiero rano, i tak nie zmieni faktycznego stanu uszkodzeń na tamach. Próbował wymyślać jakieś historyjki i opowiadać je dzieciom, ale trudno było stworzyć coś co dotyczyłoby tylko Serrengii i nie wspominało o Ziemi, jak to sobie zamierzył, biorąc pod uwagę Roddy'ego.

Kiedy deszcz w końcu przestał lać i Bonnie położyła dzieci spać, rozległo się pukanie do drzwi. Bonnie otworzyła je. Do środka weszli gubernator Boggs i dwóch członków Rady. Dookoła ich stóp na podłodze utworzyły się małe kałuże wody.

Kiedy światło lampy i blask kominka padły na niego, gubernator powoli się odwrócił i uśmiechnął do Bonnie i Marka Joredenów.

– Okropna noc, tam za zewnątrz – powiedział do nich. – Przez chwilę nawet się bałem, że nie uda nam się dotrzeć do państwa i porozmawiać.

Boggs był niskim, krępym człowiekiem i przez cały czas starał się chodzić sztywno wyprostowany. Kiedy ruszył w stronę krzeseł, wskazanych mężczyznom przez Bonnie, wydawało się to zwiększać jego normalny wzrost.

Jorden przez cały czas siedział na swoim wielkim drewnianym krześle, stojącym koło kominka, przyglądając się z chłodnym wyzwaniem na twarzy, jak jego goście siadają po przeciwnej stronie ognia.

– Szkoda, że się rozminęliśmy, kiedy byli państwo dzisiaj w mieście – kontynuował Boggs. – Dopiero późnym popołudniem doniesiono mi o państwa wizycie.

Ostrożnie sięgnął do wewnętrznej kieszeni płaszcza, wyciągnął z niej papier i ostrożnie go rozwinął. Jorden rozpoznał w nim ogłoszenie, które powiesił na tablicy informacyjnej. Boggs podał mu je.

– Byłem przekonany, że będzie pan chciał to wycofać, panie Jorden, po tym, jak pan nieco głębiej się nad tym zastanowił. Jestem pewien, że do tej pory, miał pan sporo czasu na to, aby całą sprawę w spokoju nieco bardziej przemyśleć, i że znalazł pan wiele znakomitych powodów do tego, aby wycofać swoje zgłoszenie.

– Specjalnie nad tym nie rozmyślałem – odparł Jorden, – ale teraz, kiedy już zwrócił pan na to moją uwagę, uświadamiam sobie wyraźnie, coraz większą liczbę powodów, dla których nie powinienem tego wycofywać. Zapewniam pana, że nie mam zamiaru niczego takiego zrobić.

Boggs uśmiechnął się i złożył papier, który wyślizgnął mu się z ręki i wpadł do ognia.

– Nie byłem chyba takim kiepskim administratorem, podczas mojej pierwszej kadencji urzędowania, nieprawdaż panie Jorden?

– To zależy od ludzi, jak to ocenią –– w dniu wyborów.

– Ale dlaczego mieliby oni chcieć zmieniać takiego doskonałego administratora – stwierdził Boggs zranionym tonem, – i umieścić na tym stanowisku takiego doskonałego inżyniera i zarządcę farmy… który nie ma żadnych kwalifikacji w kwestiach administracyjnych?

– To również jest pytanie, na które odpowiedź padnie w dniu wyborów.

Boggs poprawił się w krześle, zrzucając z twarzy starannie wystudiowany uśmiech.

– Ostatnio po kolonii zaczęły krążyć pewne opowieści – powiedział. – Być może dotarły one do pańskich uszu i uwierzył pan w nie.

– Możliwe – odparł Jorden.

– Ja bym nie uwierzył. Nie uwierzyłbym w nie, gdybym był na pańskim miejscu. Nie chciałbym ich nawet słuchać, ponieważ mogłyby one doprowadzić do niebezpiecznych i błędnych konkluzji, które mogłyby spowodować, że osądziłby pan w swoim umyśle i skazał, niewinnego człowieka.

– A to byłby już mój błąd, nieprawdaż? – zaripostował Jorden.

Gubernator skinął głową.

– I to bardzo poważny, jeśli mówimy o sprawach dotyczących pańskiej osobistej przyszłości i pana rodziny, Jorden.

Twarz Jordena stwardniała.

– Tego rodzaju groźby, nie przystoją pańskiemu stanowisku, panie gubernatorze.

– Być może nie zdaje pan sobie sprawy z moich szczegółowych planów.

– Wydaje mi się jednak, że znam je doskonale. I zamierzam zrobić wszystko, co jest w mojej mocy, żeby je im zapobiec. Jest pan małym karierowiczem, który dostrzegł dobrą okazję do tego, by usadowić się do końca życia na wygodnym miejscu, na którym pięciuset innych ludzi

będzie musiało spełniać pańskie wszystkie, najmniejsze nawet kaprysy. To antyczne i dzisiaj już niemodne pomysły, panie Boggs, i nie uda się tu panu tego zorganizować, nawet jeżeli sięgnie pan po takie narzędzia jak sabotaż i morderstwo.

Oczy Boggsa zwęziły się i przez dłuższy czas przyglądał się Jordenowi.

– Obawiam się więc – oznajmił w końcu, – że nie mogę zrobić nic innego, jak tylko położyć kres tym pańskim wielokrotnie powtarzanym łgarstwom na mój temat.

Oczy gubernatora nawet nie drgnęły, ale Jorden szarpnął się targany sprzecznymi odruchami. Niemal jednocześnie w małej chatce huknęły dwa strzały, a po chwili trzeci. Jorden i Boggs zerwali się z krzeseł.

Od strony wejścia do kuchni doleciał twardy jak stal głos Bonnie:

– Niech pan się nie rusza… niech pan nawet nie drgnie, panie Boggs. Proszę podnieść ręce do góry. Zabierz mu broń, Mark… ma ją w kieszeni z tej strony.



Przez moment Jorden wahał się, potem kątem oka dostrzegł dwóch leżących na podłodze rewolwerowców Boggsa. Spod ich ciał wypływały cieniutkie strumyczki krwi. Wyjął z pistolet kieszeni gubernatora i trzymał broń w ręku, przygotowaną do strzału.

– Powinienem cię teraz zabić, Boggs – powiedział. – Na twoje szczęście, czy też nieszczęście, jeżeli ta kolonia ma przetrwać, musimy w tych sprawach ustanowić odpowiednie precedensy. Musimy przejść przez formalność twojego procesu, tak byś odpowiedział za sabotaż w elektrowni i morderstwo ludzi, którzy tam zginęli. Właściwie, to może dobrym pomysłem dla ciebie byłoby, gdybyś po prostu zabrał się, ruszył przez góry i odszedł tak daleko jak zdołasz, zanim pochłonie cię dżungla. Oszczędziłoby nam to całej masy kłopotów.

W oczach Boggsa błysnęła nadzieja, kiedy zorientował się, że Jorden nie ma zamiaru go zabić. Potem z tą nadzieją zmieszało się rozgoryczenie.

– Nie ujdzie ci to bezkarnie, Jorden. Zobaczymy co powiedzą ludzi na to, że twoja żona zastrzeliła moich ludzi, kiedy tylko odwróciłem się do niej plecami.

– *Oni* nie byli odwróceni plecami – pokazał Jorden. – A teraz zabieraj ich stąd. Jeżeli chcesz uniknąć tłumaczenia się, dlaczego przyszedłeś tutaj dzisiejszej nocy, to możesz znaleźć jakieś dogodne dla siebie miejsce i pogrzebać ich tam… zanim sam zabierzesz się stąd w góry.

Spoglądali za nim, do chwili kiedy nie mogli już dojrzeć świateł samochodu Boggsa, a potem zamknęli drzwi. Bonnie załamała się z jękiem, kuląc się w ramionach Jordena.

– Teraz nas wszystkich pozabijają – powiedziała pozbawionym życia głosem. – Nie mamy żadnych szans. I po to podążyliśmy za twoim wielkim marzeniem kolonizacji nowych przyczółków we Wszechświecie!

Tej nocy Roddy zachorował. Sześć dni później, już nie żył. Zanim zdecydowali się przejść przez tę część programu, odbyło się szereg długich i gorących dyskusji, z udziałem Bonnie, Ashby'ego i zespołu pracującego na stanowisku testowym. Bonnie nalegała, żeby przerwać program już w tym punkcie. Wiedzieli przecież, jak twierdziła, że osobowość Jordena była właśnie tym, czego poszukiwali. Musieli jedynie przeanalizować czynniki, jakie skłoniły go do wzięcia udziału w teście, i w ten sposób otrzymaliby narzędzie do znalezienia tylu kolonistów, ilu tylko będzie potrzebnych do realizacji projektu. Nie było już potrzeby, by dłużej próbować go łamać.

Ashby zdawał sobie sprawę, że to nieprawda. Podstawowe motywy Jordena, popychające go do wylotu do kolonii, nie zostały jeszcze ujawnione. Ashby zgadzał się, że jego celem było niemal na pewno przetrwanie kolonii –– i był on pierwszym spośród badanych, który trzymał się tego celu tak długo –– ale musieli poznać motywy za tym celem stojące. Jeżeli nawet pozwoliły mu one na zbudowanie pewnej podstawy do wylotu do kolonii, to jednak ciągle mógł się załamać przed zakończeniem programu.

Ashby nadal jednak wahał się w związku z Bonnie. Choroba Roddy'ego, oraz jego śmierć, oznaczały ciągłą turę na stanowisku testowym, trwającą przez pełne sześć dni. A i tak zostało ona skrócona, z planowych ośmiu dni, jakie normalnie zajmowała. Ashby nie wiedział, czy Bonnie jest w stanie zredukować swój własny, osobisty stosunek do projektu, ale w miarę upływu czasu, stawał się on coraz bardziej wyraźny i widoczny.

Wieści o wytrwałości Jordena, zaczęły się rozchodzić pośród pracowników innych działów laboratorium. Dawało się dostrzec pomiędzy nimi tłumione podniecenie. W większości przypadków, wcześniej badanych kandydatów, do tego punktu scenariusza testu koloniści albo podporządkowywali się Boggsowi, albo angażowali się w bezproduktywne osobiste z nim porachunki. Jeżeli program był dalej kontynuowany, to niemal nieodmiennie załamywali się oni pod presją poczucia winy w stosunku do Bonnie, i zaczynali przeklinać Serrengię równie mocno jak Ziemię, z której uciekli.

Ashby polecił wznowienie programu. Obserwacja Bonnie podczas długich godzin choroby Roddy'ego, dla niego również była udręką. Wydawało się to być w równym stopniu testem jej siły i wytrwałości, jak samego Marka Jordena. Podczas długich godzin nocnych, kiedy ona i Mark Jorden zmieniali się na straży przy Roddym, Ashby przy pomocy telewizora wpatrywał się zbliżenie obrazu jej twarzy, obserwując ją pod każdym możliwym kątem. Badał wzrokiem jej twarz cal po calu, oświetloną blaskiem paleniska, prymitywnej chaty.

Po trzech dniach Jorden był już bliski całkowitego wyczerpania, ale pomimo napięcia Bonnie, wydawał się być w stanie wytrzymać tam w

nieskończoność. Jej oczy obserwowały twarz Jordena, rejestrując każdy jej ruch i grymas.

I po trzech dniach obserwowania zbliżeń twarzy Bonnie, Ashby nagle zaczął mamrotać coś do siebie na głos, z niedowierzeniem i zdumieniem.

Doktor Miller, który w programie grał rolę Tibbetsa, ruszył w jego stronę.

– O co chodzi, Ashby? Czy coś poszło nie tak?

Ashby powoli pokręcił głową ze zdziwieniem i wskazał na obraz na podglądzie.

– Tylko na nią popatrz – oznajmił. – Czy nie widzisz, co się stało z Bonnie? Powinniśmy byli załapać to już dawno temu. Nic dziwnego, że ta robota rozdziera ją na części… nic dziwnego, że ona nie chce prowadzić tego dalej, tak jak należy. Ani w ogóle dokończyć tego programu. To właśnie dlatego!

– Nadal nie rozumiem, o czym ty mówisz – odparł Miller z rozdrażnieniem. – Nie wydaje mi się, żeby w ogóle działo się z nią coś dziwnego. Jak dla mnie, to ona wygląda jak ta sama, stara dobra Bonnie.

– Na pewno? – spytał Miller. – Przyjrzyj się tylko, jak ona patrzy na Jordena. Czy nie widzisz, że ona się w nim zakochała?

Prawdopodobnie, istniała cala kategoria ludzi takich jak Roddy, pomyślał Jorden. Ludzi niezdolnych do przetrwania poza planetą, na której się urodzili. Od dnia przylotu tutaj, Roddy toczył nieustanną walkę, z tym znienawidzonym przez siebie, obcym światem planety Serrengii. Budził się każdego ranka, by ponownie podjąć te nierówne zmagania, zanim nawet wstał z łóżka. Doskonale przy tym wiedząc, że został zwyciężony jeszcze przed ich rozpoczęciem.

Jorden próbował każdego sposobu jaki znał, aby przelać do serca Roddy'ego, choćby kroplę swojej miłości do tego nowego świata. To była dobra planeta i ludzie którzy będą na niej dorastali w przyszłości, będą ją kochać z całego serca. Ale Roddy nie potrafił zrezygnować ze swoich wspomnień, ze swojej tęsknoty za Ziemią. Zmalała ona nieco przed pojawieniem się problemu ich zagrożonych zapasów żywności. Wtedy jednak udało mu się podchwycić ułamki trosk dorosłych ludzi i karmił ją nimi w ponurym cierpieniu, które czasami powodowało, że Jordenowi wydawało się, jakby chłopiec kroczył przez życie w niekończącym się koszmarze.

Przywiezienie go tutaj, było czymś okrutnym i brutalnym. Ale oskarżanie się o to, nie miało już żadnego sensu i nic nie mogło zmienić. Gdyby tylko Bonnie przestała go o to obwiniać! Nie można było przecież z góry przewidzieć, że Roddy będzie jednym z tych, którzy nie dadzą się… przetransplantować. Teraz już tylko często modlił się o to, aby chłopiec przeżył i przyrzekł sobie, że kiedy statki przylecą ponownie, zrobi wszystko by pozwolono mu wrócić do domu.

A oczy Bonnie spoczywały na nim przez cały czas. Kiedy siedział w świetle ognia w chacie, niemal namacalnie mógł wyczuć na sobie jej

wzrok, oskarżycielski, ociekający nienawiścią z powodu ściągnięcia ich na Serrengię.

W pewnej chwili uniósł wzrok i pochwycił jej spojrzenie.

– Nie patrz na mnie z taką nienawiścią, Bonnie! – poprosił ją. – To tylko pogarsza stan Roddy'ego. Czuję to. Sięgnij po swoją miłość i nie pozwól mu odejść.

Później, tego samego wieczora, Roddy jednak powiedział do niego:

– Tatusiu, może teraz będę mógł wrócić na Ziemię. Jak myślisz, czy to tam idą mali chłopcy po śmierci?

Tak straszliwie chce wrócić do domu, że skłonny jest nawet umrzeć, aby tego dokonać, pomyślał sobie Jorden. Właśnie to miał na myśli doktor Babbit, kiedy powiedział:

– Jorden, Roddy po prostu nie chce żyć. Jakkolwiek by to niewiarygodnie nie zabrzmiało, on dosłownie umiera z tęsknoty. Obawiam się, że nic nie mogę dla niego zrobić. Przykro mi, ale wszystko zależy od was. Ty i Bonnie jesteście jedynymi ludźmi, którzy mogą wlać niego chęć do dalszego życia. Jeżeli w ogóle ktokolwiek jest w stanie to zrobić.

Nienawiść Roddy'ego do Serrengii była większa, niż jakakolwiek chęć czy pragnienie dalszego życia, jakie mogli w nim wzbudzić. Bez trudu pokonał wszystkie cudowne leki, które doktor Babbit wysupłał z ograniczonych zapasów kolonii. Umarł szóstej nocy po wizycie Boggsa.

Pogrzeb odbył się w małym kościółku, zbudowanym przez kolonistów zaraz po założeniu Maintown. Mark i Bonnie Jorden, niemal nie słyszeli słów wypowiadanych nad ciałem Roddy'ego, przez wielebnego Wagnera, który był duchowym pasterzem kolonistów.

Ręce Bonnie spoczywały na jej łonie, i przez całą ceremonię, wbijała oczy w ziemię. Zdawała sobie sprawę z męczarni w duszy Marka Jordena. To była prawdziwa agonia, a jej siła nieomal ją przeraziła, ponieważ nigdy wcześniej jeszcze nie wiedziała takiej reakcji, u mężczyzny, który dotarł w teście tak daleko. Byli to ludzie zapatrzeni wyłącznie w samych siebie, niezdolni do takiej miłości, jaką Jorden czuł w stosunku do syna.

Wyciągnął rękę, i wziął jej dłoń w swoją. Niemal czuła kipiące w nim emocje, wyrażane przez napięcie i drżenie mocno umięśnionej ręki.

Ashby przyglądał się temu uważnie. Przez prywatny kanał komunikacyjny, który ich łączył, wyszeptał do niej:

– Płacz, Bonnie! Niech to wygląda prawdziwie. Wzbudź w nim nienawiść do samego siebie i do tego wszystkiego co zrobił, od czasu kiedy podjął decyzję o wyruszeniu do kolonii –– jeżeli jesteś w stanie to zrobić! To jest właśnie moment, w którym musimy się dowiedzieć, czy jego psychika może trzasnąć, czy nie –– i dlaczego.

– Nie możesz go złamać – odparła Bonnie. – To najsilniejszy mężczyzna, jakiego w życiu poznałam. Jeżeli uda ci się osiągnąć punkt w którym się złamie, to będzie to dopiero w chwili kiedy go zupełnie zniszczysz. Musisz się wycofać, zanim posuniemy się tak daleko!

– Bonnie, jeżeli teraz zrezygnujemy, to wszystko co do tej pory osiągnęliśmy będzie bezużyteczne. Jeszcze tylko kilka godzin, a potem będzie już po wszystkim…

Tak jakby jego słowa dotknęły jakiejś ukrytej zapadki, zaczęła płakać, głębokim, niemal niesłyszalnym szlochem, ciężko wstrząsającym jej piersią. Mark Jorden otoczył rękę jej ramiona, tak jakby próbował odepchnąć jej żal gdzieś daleko stąd.

– Wszystko *wiem*, Bonnie – powiedział delikatnie Ashby. – Widzę w twojej twarzy, co się z tobą dzieje. Zobaczysz, wszystko będzie dobrze. To wszystko nie musi dla ciebie skończyć się razem z zakończeniem testu.

– Och, zamknij się! – rzuciła Bonnie z nagłym gniewem, który spowodował, że jej łzy zaczęły płynąć jeszcze szybciej. – Musiałabym chyba kompletnie stracić rozum, żebym kiedykolwiek jeszcze zgodziła się pracować nad kolejnym z twoich przeklętych eksperymentów! Ty nie wiesz, co one robią z ludźmi. Ja również tego nie wiedziałam… ponieważ mnie to nie obchodziło. Ale teraz już wiem…

– Przecież wiesz, że po tym jak na koniec testu wykasowujemy i skorygujemy wszystkie nieodpowiednie rekcje, nie pozostają żadne szkodliwe skutki. Pozwalasz aby uczucia przesłaniały ci pełną świadomość tego co tutaj robimy.

– Tak, i coś mi się wydaje, że najlepiej by było gdybym sama poddała się niewielkiemu kasowaniu. Potem Bonnie może wracać do pracy, nad kolejnymi z twoich królików doświadczalnych, jako mała lodowata stalowa sonda!

– Bonnie…!

Nic nie odpowiedziała Ashby'emu, tylko położyła głowę na ramieniu Jordena, podczas gdy jej szloch powoli cichł. Jak to się mogło stać?, pytała się w myślach. Zupełnie tego przecież nie chciała. To po prostu się wydarzyło. To stało się już tego pierwszego dnia, kiedy wszedł do domu, wracając z pola, z tą całą zaimplantowaną wiedzą w głowie, która nakazywała mu myśleć, że wita się z Bonnie po raz tysięczny, a nie pierwszy.

Miała być tylko aktorką i odebrać jego mężowski pocałunek z całą tą pełną artyzmu mimiką, dzięki której była tak cenna dla laboratorium. Ale to było zupełnie coś innego. Grała już wcześniej role sióstr, matek, córek, żon –– setki kreacji scenicznych na potrzeby szeregu kolejnych testowanych kandydatów. Po raz pierwszy jednak spojrzała na któregoś z nich jako na istotę ludzką, a nie okaz socjologiczny. I w taki właśnie sposób, poznała Marka Jordena.

Nie było na to żadnej odpowiedzi, pomyślała gorzko, opierając twarz na jego ramieniu. Ashby miał rację –– jeszcze tylko kilka godzin i wszystko się zakończy. Wszystkie uczucia Jordena w stosunku do niej, jako do żony, wywołane były przez wymagania testu, podobnie jak i jego uczucie do Roddy'ego. Jego subiektywne reakcje były dosyć realistyczne, ale powinny zniknąć, kiedy razem z wymaganiami testu znikną popychające go do nich bodźce. Będzie spoglądał na ożywionego Roddy'ego podobnie jak na każdego innego małego chłopca… a na Bonnie, doktor socjologii, jak na każdą inną pracującą tutaj kobietę.



Uniosła głowę i osuszyła oczy, czując że ceremonia powoli się kończy. Tak prawdę mówiąc, to Ashby oczywiście miał zupełną rację. Musieli to kontynuować, a im szybciej dotrą do końca tego wszystkiego, tym lepiej dla niej. Po zakończeniu testu, *powinna* poddać się korekcie swoich własnych danych osobistych, pomyślała sobie. Kazałaby im wykasować wszystkie swoje uczucia i cały sentyment, jaki czuła do Marka Jordena, a potem byłaby tak samo dobra jak nowe narzędzie. Pomimo wszystko, jeżeli socjolog nie potrafi sobie poradzić ze swoimi uczuciami w tego rodzaju sytuacjach, nie wystawia sobie dobrego świadectwa jako profesjonalista!

Kiedy wrócili z małego cmentarza koło kościoła, słońce niesamowicie grzało. Wokół grobu Roddy'ego wyrosła już całkiem spora liczba innych, ale on był z nich wszystkich najbardziej samotny, pomyślał sobie Jorden. Nigdy im nie wybaczył tego, że okradli go z jego domu i jedynej planety, na której był w stanie żyć.

Gdy zbliżali się do swojego zniszczonego domku, który kiedyś wyglądał dla niego tak odważnie i romantycznie, czuł narastający chłód Bonnie. Serrengia kosztowała go również utratę Bonnie. Nawet jeszcze wcześniej niż Roddy'ego. Została z nim tylko z tego powodu, że to był jej obowiązek.

Kiedy postawiła nogę na progu, złapał ją za rękę.

– Bonnie…

Spojrzała na niego gorzko, a jej oczy przebiegły mu po twarzy, jakby szukając czegoś z dawnych przymiotów, które ją do niego przyciągnęły.

– Nawet nie próbuj tego mówić, Mark… nie ma już nic, co mógłbyś mi powiedzieć.

Przepuścił ją, a dwójka dzieci ruszyła za nią, wchodząc obok niego do środka. Usiadł na progu i wpatrywał się w rozciągające się pasem nad brzegiem rzeki pola. Jego umysł był jakby otępiały po odejściu Roddy'ego. Uporczywe wyrzuty Bonnie, powodowały że nieustannie, raz za razem, przeżywał w myślach po śmierć syna.

Jasne światło odbite zielenią od pól, niosło pocieszenie i niemal pieszczotę dla jego oczu. Powinienem znienawidzić ten widok, pomyślał sobie. Powinienem nienawidzić tej całej przeklętej planety, za to wszystko co mi zabrała. Ale to nieprawda… Serrengia nie zabrała mi niczego. To jedynie ja i Bonnie nie potrafimy wspólnie żyć w tym samym świecie, albo

w podobny sposób. Roddy był podobny do niej. Ale ja wtedy o tym nie wiedziałem. Nie znałem ich obojga, nie wiedziałem jacy byli.

Musimy żyć dalej. Nie ma już drogi odwrotu. Być może, gdybym wiedział o tym wcześniej, udałoby mi się całą sprawę ułożyć inaczej, lepiej dla nas wszystkich. Teraz nie powinienem, i byłoby to kompletne szaleństwo, winić Serrengii za błędy, które tkwiły w nas samych. Kto mógłby czuć cokolwiek poza miłością, do tej naszej czystej, dzikiej planety…?

Powinienem zejść na dół i rzucić okiem na pole, pomyślał. Wstał, żeby wejść do domu i porozmawiać z Bonnie. Plony nie były nawadniane od czasu, kiedy zachorował Roddy.

Znalazł Bonnie w sypialni. Szuflady w szafkach były pootwierane, a na środku podłogi stały kufry, z poodrzucanymi do tyłu wiekami. Ubrania leżały porozkładane na łóżku.

Poczuł jak skóra na głowie powoli mu tężeje, a wzdłuż karku pełznie zimny dreszcz.

– Bonnie…

Wyprostowała się i spojrzała w jego twarz zimnym, odległym wzrokiem.

– Pakuję się, Mark – powiedziała do niego. – Odchodzę. Wracam do domu. Dziewczynki idą ze mną. Ty możesz sobie tutaj zostać, dopóki nie wykopią ci grobu koło Roddy'ego, ale ja wracam do domu.

Twarz Jordena zbielała. Zrobił krok do przodu i schwycił ją za ramiona.

– Bonnie… przecież wiesz, że nie ma żadnego sposobu, żeby wrócić do domu. Statki przylecą dopiero za sześć lat. To jest nasz dom, Bonnie. Nie ma żadnego innego miejsca, do którego moglibyśmy odejść.

Przez chwilę jej napięty wyraz twarzy zdawał się gdzieś rozpływać. Zmarszczyła brwi, jakby przekazał jej jakąś tajemnicę, której nie była w stanie zgłębić. Potem twarz jej się wyostrzyła, i powróciła na nią pusta determinacja.

– Wracam do domu – powtórzyła. – Nie możesz mnie zatrzymać. Zrobiłam wszystko, czego można było oczekiwać od żony. Ceną za twoją głupotę było życie naszego syna. Nie możesz żądać więcej.

Musiał wyjść. Czuł, że jeżeli zostanie w środku choćby jeszcze przez chwilę, coś w jego wnętrzu eksploduje pod ciśnieniem przepełniającego go żalu. Wyszedł przed frontowe drzwi i stał oparty o framugę, spoglądając po otaczającym go świecie, który niemal namacalnie zdawał się sięgać po niego z taka samą nienawiścią, jaką miał dla Roddy'ego. A więc ją też chcesz zabrać!, krzyknął rozpaczliwie w duszy.

Kiedy tak stał, podeszła do niego Alice i pociągnęła go za rękę.

– Tatusiu, co się stało? Co się stało z mamą?

Pochylił się do niej i z czułością pocałował w czoło.

– Nic, skarbie. Idź i pobaw się przez chwilę, a ja spróbuję pomóc mamie.

– Ja też chcę pomóc!

– Alice, proszę…

Poszedł z powrotem do sypialni. Bonnie uważnie przeglądała każdą rzecz, a następnie pakowała ją do wielkiego kufra. Kiedy wszedł do środka, nawet nie uniosła wzroku.

– Bonnie – powiedział do niej przyciszonym głosem, – czy naprawdę chcesz mnie zostawić?

Włożyła do środka sukienkę, którą trzymała w ręku i podniosła oczy na niego.

– Tak, odchodzę od ciebie – odparła. – Masz w końcu, to czego chciałeś… wszystko czego zawsze chciałeś.

Spojrzała znacząco na zewnątrz, w stronę pól, migoczących w upale gorącego dnia.

– To nieprawda, Bonnie. Wiesz, że to nieprawda. Zawsze cię kochałem i potrzebowałem, a moja miłość rosła z każdą godziną, podczas której byliśmy razem.

– A więc będziesz musiał to udowodnić! Zrezygnuj z tej przeklętej planety, którą chcesz abyśmy nazywali domem i zabierz nas z powrotem na naszą Ziemię! Jeżeli mnie kochasz, w ten sposób możesz to udowodnić!

– Ale zmuszanie mężczyzny do tego, by zrezygnował z celu, który jest celem jego życia, to nie jest żadna próba miłości. Wzgardziłabyś mną na zawsze, gdybym pozwolił ci tego dokonać. Już raczej pozwoliłbym ci odejść ode mnie, z uczuciami jakie do mnie żywisz w chwili obecnej, ponieważ wiem, że kiedyś mnie kochałaś…

Bonnie stała spokojnie w jego ramionach, bez ruchu, z odwróconą w drugą stronę twarzą. Położył jej rękę na podbródku i przekręcił jej głowę w swoją stronę.

– Kochasz mnie, Bonnie? To się nie zmieniło, tak?

Oparła głowę o jego pierś i kołysała się z jednej strony na drugą, jakby skręcając się w męczarniach.

– Och, nie… Mark! To się nigdy nie zmieni. Niech cię diabli, Ashby, niech cię diabli…

W sterowni Ashby i Miller jęknęli głośno do siebie nawzajem, a technik spojrzał na nich pytającym wzrokiem, kładąc rękę na wyłączniku. Ashby jednak pokręcił przecząco głową i dalej wpatrywał się w rozgrywającą się przed nim scenę.

Jorden potrząsnął delikatnie spoczywającą w jego ramionach Bonnie.

– Ashby? – spytał ją. – A kto to jest, Ashby?

Bonnie popatrzyła w górę, a na jej twarzy ponownie pojawiła się pustka i rozpacz.

– Nie pamiętam… – odparła z wahaniem. – Ktoś, kogo kiedyś… znałam…

– Teraz to nieistotne – powiedział Jorden. – Jedyne co się liczy, to że mnie kochasz i że masz zamiar ze mną zostać. Ale teraz odłóżmy te sprawy na bok, kochanie. Wiem, co przeżyłaś w ciągu ostatniego tygodnia, ale musimy to zostawić za sobą i patrzeć do przodu, w przyszłość. Sam Roddy chciałby, żebyśmy tak właśnie zrobili.

– Nie ma żadnej przyszłości, w którą moglibyśmy patrzeć – ponuro stwierdziła Bonnie. – Nie tutaj, na Serrengii. Pobyt kogokolwiek z nas tutaj, nie ma żadnego sensu. Ja wracam na Ziemię.

– Ależ on ma sens! Gdybym tylko potrafił ci to pokazać. Gdybyś tylko mogła zrozumieć dlaczego musiałem tu polecieć…

– No to powiedz mi, wszystko co wiesz. Nigdy nawet nie próbowałeś mi tego powiedzieć. Żyjesz tak, jakbyś wiedział coś, o czymś tak głębokim i tajemnym, że wypełnia to każdą godzinę twojego życia, i potrafisz znaleźć w tym ukryty sens. Ale ja mogę jedynie snuć domysły, z jakiego powodu zostałeś wybrany przez swojego boga. Jeżeli jest coś w tym, poza próżnymi złudzeniami, ubierz to jakoś w słowa, i pozwól mnie też się o tym dowiedzieć!

– Nigdy tego nie próbowałem – niepewnie odparł Jorden. – Nigdy nie próbowałem ująć tego w słowa. To coś, z czego nawet nie zdawałem sobie sprawy, dopóki nie usłyszałem o możliwości kolonizacji Serrengii. Ale wtedy od razu wiedziałem, że muszę tutaj polecieć.

– To jest jak życie, które czujesz w każdej swojej komórce. To jest jakbyś rosła, coraz bardziej, i to jest coś, co musisz zrobić. Jesteś jednocześnie nasieniem… i jajeczkiem… i jeżeli nie opuścisz ciała swojej matki, to umrzesz. Nie musisz nienawidzić wszystkiego co za sobą zostawiasz, tak jak to zrobili James i Boggs, i tak wielu innych. To wszystko dało ci życie, i za to jesteś temu wdzięczny. Ale musisz odejść, aby zacząć żyć na własny rachunek.

– To jest coś, do czego się urodziłem, Bonnie. Nie zdawałam sobie sprawy z tego, że to jest we mnie, ale teraz, kiedy to już znalazłem, nie potrafię tego zabić.

– Musisz zabić to… albo mnie.

– Ty wcale tak nie myślisz. Przecież jesteś częścią mnie. Byłaś częścią mnie tak długo, że czujesz to co ja czuję. Kłamiesz, Bonnie, kiedy mówisz, że ode mnie odejdziesz. Ty nie chcesz nigdzie odejść. Chcesz kroczyć dalej razem ze mną, ale coś cię powstrzymuje. Bonnie, co to jest? Powiedz mi, co cię powstrzymuje?

Jej oczy zrobiły się szerokie. Przez chwilę myślała, że mówi do niej gdzieś, z realnego świata, a nie z pozorowanej rzeczywistości testu. Potem zdała sobie sprawę z tego, że to niemożliwe. Jej oczy rzuciły błagalne spojrzenie w stronę obiektywów obserwacyjnych.

Ashby zawołał gwałtownie:

– No dalej, Bonnie! Nie zmniejszaj presji. Napieraj na niego. Musimy się tego dowiedzieć. Już go niemal mamy!

Powoli podeszła do kredensu, gdzie wcześniej położyła nóż myśliwski Jordena, tak jakby bez żadnych szczególnych intencji. Teraz, jej skryta przed wzrokiem Jordena dłoń, dotknęła go. Wzięła go i uniosła w dłoni.

Ponownie dobiegł do niej głos Ashby'ego:

– Bonnie… rusz się!

Szepnęła:

– Zgubiona…

A potem obróciła się, z nożem w ręku. Wykrzyczała na głos:

– Nie mogę już dalej, nawet na krok! Czy nie rozumiesz, że to już wystarczy? Przestań! Przestań!

Jorden skoczył w stronę noża.

W pomieszczeniu obserwacyjnym technik dotknął wyłącznika.

Ashby'ego przepełniało z trudem skrywane uniesienie, wywołane sukcesem, który przyszedł po długim i forsownym wysiłku. Po drugiej stronie jego biurka siedziała Bonnie. On sam usadowił się w takim miejscu, aby móc kątem oka obserwować cztery stojące na zewnątrz statki. Jeden i Dwa wykonały już swoje loty próbne, a inne nie pozostawały za nimi daleko w tyle. Ekspedycja również powinna zakończyć się sukcesem. Nie było już co do tego wątpliwości, ponieważ teraz wiedział gdzie szukać odpowiedniego personelu.

– W każdym razie cieszę się, że nie storpedowałam ci kompletnie całego testu – powoli oznajmiła Bonnie. – Nawet jeżeli to co mówisz o Marku nie okazałoby się prawdą.

Ashby przesunął nieco krzesełko, tak aby znaleźć się bezpośrednio przed nią. Odpoczęła już trochę, i przeszła przez reorientację umysłową, która zlikwidowała część widocznego wcześniej w jej twarzy napięcia.

– W ogóle go nie storpedowałaś – odparł. – Zaszliśmy już na tyle daleko, abyśmy byli pewni, że Mark przetrwałby nawet twoje samobójstwo, i nie zmieniłoby to jego determinacji do popychania spraw kolonii do przodu. Jeżeli ktoś taki jak on skoncentruje się na tego rodzaju projekcie, to nic nie jest w stanie stanąć mu na drodze w realizacji celu, poza chyba własną śmiercią. Czy jesteś zupełnie pewna, że chciałabyś się związać z tak upartym i monotematycznym człowiekiem jak Mark Jorden?

– Nie mam co do tego najmniejszych wątpliwości! Ale nie wydaje mi się, abym dała radę przed nim stanąć… teraz, kiedy wie o wszystkim… W jaki sposób mogłabym być pewna, że jego uczucia w stosunku do mnie, nie są po prostu efektem jego doświadczeń z czasu testu, i nie zmienią się z upływem czasu. Powinieneś mu to wszystko po prostu skasować, i pozwolić nam wystartować od samego początku. Dzięki temu byłoby to dużo łatwiejsze.

– Nie wystarczyło by ci na to czasu. Nie zdążylibyście przed odlotem statków. Ale dlaczego mielibyśmy mu to wszystko kasować? Usunęliśmy postulaty testu i pozostawiliśmy w jego pamięci Bonnie. Jego miłość do ciebie nie znikła, po likwidacji postulatów. Dopóki będzie miał związane z tobą wspomnienia, będzie cię kochał. A więc dlaczego kazać mu zakochiwać się w tobie po raz drugi? Nie ma sensu tracić tak istotnego w naszym wieku czasu. O, właśnie idzie…

Kiedy za jej plecami otworzyły się drzwi, Bonnie stwierdziła, że w żaden sposób nie jest w stanie się odwrócić. Usłyszała, jak Mark zawahał się przez chwilę, a następnie wolno ruszył po dywanie. Ashby lekko się uśmiechnął i skinął głową. Potem poczuła mocny uścisk rąk Marka na ramionach. Podniósł ją z krzesełka i odwrócił tak by stanęła do niego twarzą w twarz. Poczuła wilgoć w oczach.

– Bonnie… – delikatnie powiedział.

Ashby taktownie odwrócił się w stronę okna. Żurawie stoczniowe wstawiały do Statku Trzy jakieś maszyny. Chyba jednak mylił się co do tego, że od dnia dzisiejszego do dnia startu, pozostało za mało czasu, aby Mark i Bonnie mogli się od nowa nawzajem odkryć. Wydawało się, że działają całkiem szybko. Ale przecież, tak jak wspomniał, po co w ich wieku marnować czas?

Kiedy Ashby odwrócił się z powrotem od okna, stali roześmiani, przytulając się mocno, jedno do drugiego.

– Mówili mi, że przeszedłem – powiedział do niego Jorden. – Bardzo mi przykro, że zabieram panu pańskiego najlepszego inżyniera społecznego, ale tak jak sam pan stwierdził na początku, ten cały biznes kolonizacyjny, to rodzinna sprawa.

– Tak… to chyba jedna z tych niewielu spraw, co do których miałem rację. – Ashby skinął ręką, wskazując im by usiedli. – Dzięki panu zlokalizowaliśmy poważny błąd. Chodzi o utożsamianie przez nas skłonności buntowniczych, ze zdolnością do kolonizacji. Bunt w ogóle nie jest motorem napędowym kolonizacji. Te dwa czynniki po prostu współwystępują razem od czasu do czasu. Ale istotą kolonizacji, jest czynnik rozwoju, wzrostu –– podobnie jak było to w pańskim przypadku, tak jak sam pan to dokładnie opisał, kiedy Bonnie wywierała na pana presję, aby uzyskać jakiś wgląd w tej materii. Wiąże się ona tak często z buntem, ponieważ bunt jest, albo historycznie był, niezbędny wyrażenia tego właśnie czynnika rozwoju.

– Koloniści amerykańscy, na przykład, byli buntownikami jedynie z przypadku. Jako grupa posiadali jednak w sobie ten czynnik rozwoju, który pchnął ich do wyrwania się poza ograniczenia cywilizacji, w której żyli. To on dał im siłę do buntu i udanej kolonizacji. A tak łatwo jest pomylić tego typu kolonistów, ze zwykłymi mordercami, przestępcami i ludźmi nieprzystosowanymi. Ci drudzy mogą jednak nie posiadać odpowiednio silnego czynnika rozwoju. A w każdym razie, podstawowymi siłami napędowymi ich działań, są nienawiść i strach, które stanowią zupełnie niewłaściwe motywy dla udanej kolonizacji.

– Idealny kolonista nie zrywa zupełnie z ojczystym organizmem społecznym, ani też nie jest jedynie jego prostym przedłużeniem. Tworzy nowe jądro, zdolne do wymiany z ojczystym organizmem, ale nie jest przez niego kontrolowany. Chce tworzyć poza społeczeństwem istniejącym obecnie, a ono nie jest w stanie wchłonąć go z powrotem. Kolonizacja może zabrać mu wszystko co było wartościowe w jego życiu, i nie dać mu w zamian niczego, poza samą sobą, ale tkwiące w kolonistach pragnienie nowego życia i rozwoju, jest na tyle silne, aby uznał to za wystarczające. Nie chodzi tu wyłącznie transplantację starego życia. To jest jak poczęcie, ciąża i narodziny.

– Nasze współczesne społeczeństwo, pozwala na niemal nielimitowany rozrost czynnika rozwoju w poszczególnych osobnikach, niezależnie od

jego siły i intensywności. Dlatego właśnie nie udało się nam skolonizować planet naszego układu. Nie dostarczały one odpowiedniej motywacji, ani na tyle silnej satysfakcji życiowej, by przeważyć satysfakcję dostępną już wcześniej. W wyniku tego, nie mieliśmy faktycznie niemal żadnych kandydatów, którzy przyszliby do nas, z powodu ograniczeń w ich rozwoju. Przy obecnym podejściu naszego społeczeństwa, należy pan do bardzo niewielkiej grupy, która mogła się u nas pojawić. I nawet niewielka zmiana w pańskim życiu zawodowym, mogłaby pana od tego powstrzymać. Nie chciał pan przyjąć oferowanego panu kierownictwa działu, ponieważ ograniczałoby ono pańskie osobiste funkcje twórcze, z których był pan bardzo zadowolony. I to właśnie ten delikatny czynnik, możliwość cieniutka jak włosek, sprowadziła pana do nas.

– Jak więc może pan oczekiwać, że uda się wam znaleźć jakąś poważniejszą liczbę kolonistów? – zawołał Jorden.

– Uruchomimy kampanię rekrutacyjną. Skierujemy ją do najbardziej twórczych grup –– inżynierów, planistów, artystów. Pokażmy im, że podczas prac nad budową placówek kolonialnych pojawiają się dużo większe możliwości kreatywnego funkcjonowania i rozwoju, niż w przypadku jakiejkolwiek innej działalności, jaką kontentują się obecnie. A przy tym wcale nie będziemy musieli przesadzać. To po prostu prawda.

– Dzięki temu będziemy mogli wysłać do kolonii ludzi, których jesteśmy pewni. W przeszłości, kolonie których mieszkańcami byli wyłącznie ludzie uciekający przed czymś i nieposiadający w sobie odpowiednio silnej motywacji rozwojowej, w nieunikniony sposób ponosiły klęskę.

– Kiedy w mojej dziedzinie, uda nam się już to wszystko dogłębnie rozpracować i wyjaśnić, prawdopodobnie nigdy nie uwolnię się od mojego początkowego błędu, polegającego na przyjęciu założenia, że koloniści muszą nienawidzić, albo bać się, tego co pozostawiają za sobą. Tak aby byli w stanie pozostawić to na zawsze. Prawdą jest przecież twierdzenie zupełnie odwrotne. Udana kolonizacja Wszechświata przez Ziemian, możliwa będzie jedynie w warunkach miłości i szacunku dla ojczyzny. I zachowania od niej dostatecznie dużej odległości, tak by być zupełnie niezależnym od domu.

Ashby zacisnął palce i popatrzył na gości trzeźwym wzrokiem.

– Pozostała nam jeszcze jedna sprawa – dodał. – Udało nam się stwierdzić, że Bonnie zasadniczo nie jest dobrym materiałem kolonistkę…

Twarz Bonnie zbielała. Odepchnęła rękę Jordena, i pochyliła się nad burkiem.

– Wiedziałeś…! A więc nie możemy… Dlaczego od razu mi o tym nie powiedziałeś?

– Bonnie, nie wyciągaj zbyt pospiesznych wniosków – powstrzymał ją Ashby. – Jak właśnie miałem to powiedzieć, stwierdziliśmy jednak, że istnieją pewne specyficzne warunki, dzięki którym możesz stać się odpowiednią i stabilną osobowością. Chodzi o prawdziwą miłość do kolonisty o właściwych kwalifikacjach, miłość silną do tego stopnia, że skłoni cię ona do podążania za nim i całkowitego zaangażowania się w jego pragnienia i ambicje. To możliwość dotycząca wyłącznie kobiet ––

można by powiedzieć, że kobieta może stać się kolonistą drugiego rodzaju.

– Oczywiście, Jorden, ciągle musisz podjąć podstawową decyzję, czy chcesz lecieć na Serrengię, czy nie. Na razie dowiedzieliśmy się tylko, że możesz.

– Myślę, że nie ma żadnych wątpliwości co do tego, czy chcę – odparł Jorden.

Ponownie odwrócił Bonnie w ramionach, a Ashby lekko zachichotał.

– Zawsze mówiłem, że ma takich danych, których nie dałoby się zdobyć, pod warunkiem, że można dla potrzeb tego procesu zastosować właściwą procedurę eksperymentalną – stwierdził z zadowoleniem.

KONIEC